



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

LUTY 1999

ISSN 1429-4494

NR 2 (50)/99 ROK VII

Numer Jubileuszowy!



Fot. T. Chmielowiec

Politechnika Gdańska, Auditorium Novum

Politechnika Gdańska, Auditorium Novum
8 stycznia 1999 r.



POMORSKIE HIGH SOCIETY



JEST SUKCES -
MOŻNA POZOWAĆ!



NASZE ZDROWIE W PANI RĘKACH
- SZCZEGÓLNIIE PO REFORMIE



"LATA 30., LATA 40."
ACH, TE SCHODY... ACH, TE NOGI...



JAK ZAPŁACA,
TO ZAGRAMY



ZAPŁACILI
I POCHWALILI

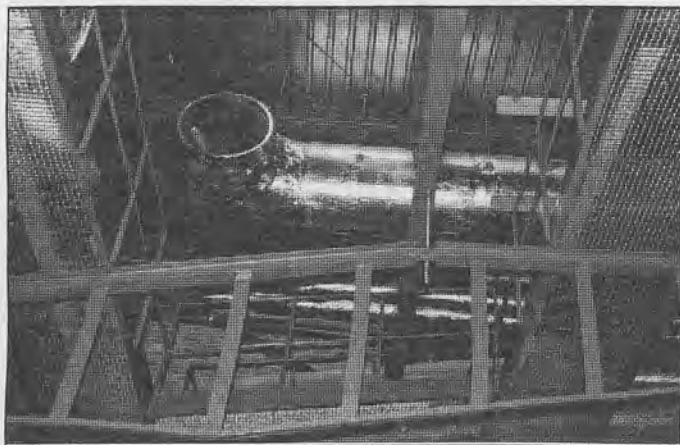
Auditorium Novum



wizyty osób pragnących zapoznać się z zastosowanymi w Auditorium Novum rozwiązaniami, a z początkiem nowego semestru weryfikują je ci, którym ma ono służyć - studenci.

Ta jedyna od lat inwestycja Politechniki Gdańskiej częściowo finansowana centralnie przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, zrealizowana została w zawrotnym jak na inwestycję resortową tempie. Prace budowlane trwały 15 miesięcy, a w ich efekcie z nieprzydatnej i trudnej do rozebrania kotłowni powstał nowoczesny obiekt dydaktyczny o łącznej powierzchni użytkowej 1535 m² i kubaturze 11 302 m³.

Końcowy efekt poprzedzony został trwającymi wiele lat staraniami władz uczelni o to, aby realizacja mogła się w ogóle rozpocząć. Blisko dwa lata trwały prace projektowe, a podczas budowy mieliśmy do czynienia z upadłością firmy, która w drugiej połowie 1997 roku wygrała przetarg na przebudowę kotłowni. W konsekwencji na trzy miesiące budowę przerwano, a jej wznowienie wymagało wielu zabiegów prawnych i zręcznej dyplomacji. Dopiero z początkiem sierpnia życie powróciło

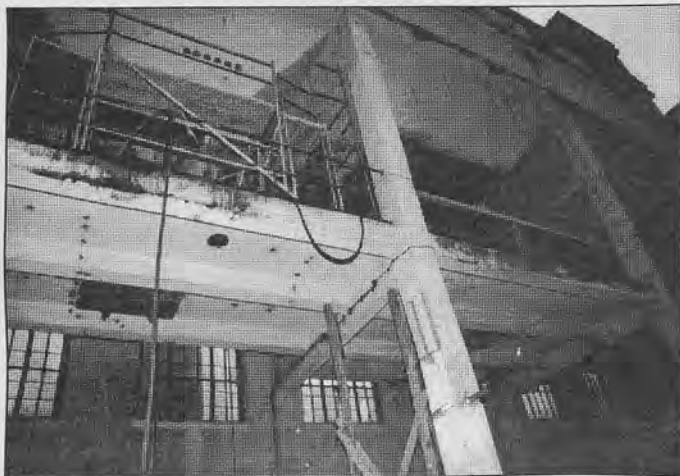


na plac budowy. Rozpoczął się wyścig z czasem. Częstym gościem na placu budowy był JM Rektor doglądający postępu robót zgodnie z zasadą: pańskie oko... Wyznaczony wcześniej zaplanowanym koncertem inauguracyjnym termin musiał być dotrzymany, i w konsekwencji został.

Auditorium Novum zostało przekazane Politechnice Gdańskiej 22 stycznia 1999 roku, a 18 lutego pojawili się w nim pierwsi studenci.

Za kilka lat niewiele osób pamiętać będzie brudnoróżową bryłę nieczynnej kotłowni u zbiegu ulic Siedlickiej i Brackiej, tak mało pasującą do zabytkowego kompleksu budynków znajdujących się w obrębie najstarszej części Politechniki Gdańskiej. Z początkiem tego roku to dawniej mało eksponowane miejsce zmieniło się nie do poznania. Nowa elewacja, z dużymi płaszczyznami szkła, a przede wszystkim zupełnie nowa funkcja - wolno stojącego audytorium z towarzyszącym mu kompleksem sal dydaktycznych spowodowała, że obecnie tętni ono życiem. Jeszcze przez pewien czas funkcjonować będą wymiennie określenia: kotłownia i Auditorium Novum, którymi będziemy nazywać ten obiekt. Jednak w miarę upływu czasu, gdy w pamięci zacierać się będzie widok żelbetowych konstrukcji lejów zasypowych i olbrzymiego popielnika, coraz częściej używać będziemy tej drugiej nazwy.

Auditorium Novum z na wskroś nowoczesną salą główną na 475 miejsc, wyposażoną w najnowocześniejsze urządzenia audiowizualne wspomagające pracę wykładowcy, z dwiema dodatkowymi salkami seminaryjnymi na parterze i większą salą dydaktyczną na drugiej kondygnacji - może być powodem do dumy. Ciekawie rozwiązano oświetlenie sali zintegrowane z systemem zdalnego sterowania urządzeniami audiowizualnymi. Cały budynek jest klimatyzowany, a szatnia i foyer pozwalają na odpłatne użyczenie sali na koncerty i prestiżowe imprezy. Kamienne posadzki i estetyczne okładziny ścian, niebanalna kolorystyka utrzymana w odcieniach żółci i zieleni - nie pozwalają na obojętność. Obiekt budzi emocje. Od pamiętnego koncertu inauguracyjnego, 8 stycznia bieżącego roku, trwają





Kalendarium prac związanych z realizacją Auditorium Novum

- 19.04.1995 - pismo do MEN z prośbą o uwzględnienie inwestycji w planie na rok 1996
- 8.12.1995 - pismo z MEN informujące o uwzględnieniu inwestycji w planie na rok 1996 i wielkości przewidywanych środków na jej realizację
- 5.01.1996 - ogłoszenie przetargu na projekt
- 26.01.1996 - rozstrzygnięcie przetargu na projekt
- 27.11.1996 - uzyskanie pozwolenia na budowę na podstawie projektu budowlanego
- 10-17.03.1997 - przekazanie pierwszej części projektu wykonawczego
- 6-10.1997 - sukcesywne przekazywanie kolejnych wersji projektu wykonawczego
- 8.07.1997 - ogłoszenie przetargu na realizację
- 12.09.1997 - rozstrzygnięcie przetargu
- 16.09.1997 - zatwierdzenie wyników przetargu
- 1.10.1997 - podpisanie umowy z BUDMORS-em
- 10.10.1997 - przekazanie placu budowy
- 10.04.1998 - upadłość BUDMORS-u
- 1.07.1998 - wznowienie prac nad audytorium po cesji umowy na realizację audytorium na rzecz firmy INPRO
- 8.01.1999 - koncert inauguracyjny
- 22.01.1999 - protokolarnie przekazanie obiektu Politechnice Gdańskiej

Leszek Wicikowski

Zastępca dyrektora administracyjnego ds. technicznych

WIELKA GALA 8 stycznia 1999 r.

Niecodzienny, ale arcyinteresujący program na dzisiejszą uroczystość został specjalnie przygotowany, żeby Państwa tu zwabić. Proszę się jednak nie obawiać, nie mam złych zamiarów. Po prostu nie można samemu cieszyć się prawdziwą radością z osiągniętego sukcesu. Najpiękniejszy obraz nie pokazany publicznie, nigdy nie ożyje, najwspanialszy klejnot musi być adorowany, żeby jaśniał pełnym blaskiem. Radość ulega wielokrotnieniu, kiedy jest dzielona z innymi. Już z Biblii wiemy, że z okazji sukcesu zwołuje się przyjaciół i sąsiadów i prosi ich "cieszcie się ze mną". Bardzo mi zależy, żeby radość z oddawania do użytku tego pięknego obiektu móc dzielić z Państwem. Miło mi, że zainteresowanie dzisiejszym koncertem było duże, że nawet gdyby pojemność tej sali była trzy razy większa, to i tak zabrakłoby miejsc. Chciałbym przeprosić setki pracowników Politechniki i wszystkich innych chętnych, którym tym razem nie było dane uczestniczyć w tym wielkim wydarzeniu. Na pewno spotkamy się tu przy innej okazji.

Patrzę na salę i widzę tylu dostojników, tyle osobistości, ludzi bliskich Uczelni, że nie wiem, od kogo zacząć powitanie. Jest arcybiskup, senator, wojewoda, marszałek sejmiku, są komandorzy, prezydenci miast, rektorzy, szefowie największych wybrzeżowych przedsiębiorstw, dyplomaci, duchowni, budowniczości tego obiektu, jego projektant, goście zagraniczni, senat uczelni w pełnym składzie i wiele innych bliskich nam osób. Przywitał wszystkich Państwa razem, ale za to stokroć goręcej



niż mógłbym to uczynić, witając każdego z osobna. Dobry wieczór Państwu. Witam Państwa bardzo serdecznie.



Znajdujemy się w dawnej kotłowni, nieczynnej od wielu lat. Po podłączeniu do EC budynek niszczał pozostawiony na pastwę losu. Było wiele projektów dotyczących jego wykorzystania. Wszystkie jednak rozbiły się o koszty i aż się prosiło, żeby go zburzyć i zrobić na jego miejscu parking. Jednak ze względu na wiek stał się zabytkiem prawnie chronionym i musiał istnieć w swoim pierwotnym kształcie, chyba żeby się sam zawałił. Padły też propozycje, żeby przekazać go w inne ręce, a chętnych nie brakowało. Wspierany jednak radą najbliższych współpracowników podjąłem decyzję o przekształceniu go w bardzo potrzebne duże audytorium.

Oczywiście nic nie byłoby z tego pomysłu, gdyby nie zyskał uznania w Ministerstwie Edukacji Narodowej. Składałem więc ogromne podziękowanie Ministerstwu, szczególnie panom wiceministrom Jerzemu **Zdradzie** i Andrzejowi **Karwackiemu**, za częściowe sfinansowanie inwestycji. Dalsi sponsorzy są jednak pilnie poszukiwani.

Nie ma żadnej inwestycji bez projektu. Autorem projektu, którego realizację widzimy, jest pan architekt Adam **Iwanaszko** z firmy ANKO. Jeżeli obiekt Państwu się podoba, proszę wyrazić to oklaskami.

Panie Architekcie, zebrani burzliwie nagrodzili pana za koncepcję i wysiłek w doprowadzeniu tego dzieła do końca.

Pora na wykonawcę. Przetarg na przebudowę kotłowni wygrała znana firma budowlana i przystąpiła do pracy już w grudniu 1997 r. Najpierw usunięto wszystko, co niepotrzebne. Zniknęło całe wnętrze, dach, zostały jedynie fragmenty murów, które bez spinającego dachu o mało się nie rozpadły. A mury też nie te same, różnią się od pierwotnych nie tylko estetyczną elewacją.

Prace szły pełną parą. Do późna w nocy paliły się światła, widać było uwijających się pracowników. Nagle budowa zamarła - firma zbankrutowała; po prostu pech. Rozpoczęła się długa procedura przejęcia budowy przez innego wykonawcę. Mimo że byli chętni, syndyk stawiał wysokie wymagania, ponieważ chciał sprzedać w całości wszystkie inwestycje prowadzone przez zbankrutowaną firmę. Na inne budowy jednak nie było chętnych, a syndyk był uparty i opóźniał decyzję. Na szczęście dzięki zaangażowaniu wielu ludzi dobrej woli, w tym pani dyrektor Ewy **Mazur** i pana Piotra **Stefaniaka** prezesa obecnego głównego wykonawcy INPRO, pod koniec lata wznowiono przerwana na wiosną budowę. I wtedy okazało się, że była to dla nas bardzo korzystna zamiana. Firma INPRO zaprezentowała znacznie wyższy standard, ogromne przywiązanie do dobrej roboty, wysoką kulturę doświadczonego wyko-

nawcy. Sprawdziło się przysłowie: "nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Oczywiście INPRO - to główny wykonawca. Wiele innych firm wzięło również udział w tym dziele, a wśród nich na wyróżnienie zasługują: FASADA - za elewacje zewnętrzne, DICKMAN - za elewacje wewnętrzne i sufity, EUROKLIMA - za klimatyzację, i UNIBUT - za posadzki. Na szczególne wyróżnienie zasługują przedsiębiorstwo Romana **Starka**, kładące parkiet i Fabryka Mebli Okrętowych ze Starogardu, która wyposażyła Auditorium w meble. Te dwie ostatnie firmy, podobnie jak główny wykonawca INPRO, pracowały cały czas w szalonym tempie, w ekstremalnie trudnych warunkach, wzajemnie sobie przeszkadzając, a mimo to w zgodzie i zrozumieniu. Dziękuję za dobrą robotę.

Ten kompleks - kompleks, bo są tu jeszcze trzy mniejsze sale - ale przede wszystkim Auditorium Novum jest niewątpliwie, a właściwie będzie, po pełnym wyposażeniu, najnowocześniejszą salą wykładowo-konferencyjno-koncertową w Polsce. Podobno jest to niemożliwe, żeby jedna sala spełniała dobrze te trzy funkcje. Wydaje mi się, że w tym przypadku to zamierzenie udało się. Projekторы dużej mocy, opuszczane ekrany i tablice, sprawne nagłośnienie, dobra akustyka, doskonale oświetlenie, wygodne siedzenia, znakomita widoczność z każdego miejsca i, co nie mniej ważne, pełna klimatyzacja sprawią, że Auditorium będzie przyjazne zarówno dla wykładowcy, jak i dla słuchaczy. Te same walory plus możliwość symultanicznego tłumaczenia na kilka języków, przestronna szatnia, dodatkowe sale konferencyjne i szerokie foyer na prezentację posterów umożliwiają organizowanie najbardziej prestiżowych konferencji, sympozjów, kursów, czy zjazdów. A wymagania trzeciej funkcji - sali koncertowej - też chyba zostały spełnione. Pan prof. Andrzej **Kulowski** zrobił wszystko, żeby akustyka sali była na najwyższym poziomie; dobra izolacja nie dopuszcza hałasu z zewnątrz, a miły, spokojny wystrój nie rozprasza uwagi. Dobrej sali koncertowej potrzebne jest oczywiście coś więcej - specjalna atmosfera, niepowtarzalny nastrój; to jednak mogą zapewnić wyłącznie miłośnicy muzyki, a tych na szczęście na Wybrzeżu nie brakuje. Jestem pewien, że duch dostojnej muzy polubi te wnętrza i zagości w nich. Będziemy z tego dumni, ponieważ koncerty w Politechnice mają długą tradycję, ustaloną renomę i cieszą się ogromnym powodzeniem zarówno u wykonawców, jak i melomanów. Naszą ambicją jest być nie tylko znaczącym ośrodkiem dydaktycznym i naukowym, ale równocześnie centrum kulturotwórczym. Wprowadzanie w świat kultury, wychowywanie w poczuciu misji humanistycznej jest niezmiernie istotnym elementem w kształceniu ludzi techniki. Inżynier powinien być świadomy, że produkty jego



myśli i rąk są dla ludzi, im mają służyć i muszą być im przyjazne. Myślę, że ta sala posłuży do szerzenia wiedzy, krzewienia kultury, wpajania miłości do muzyki, będzie służyła pomocą w wymianie poglądów nie tylko studentom Politechniki, ale całej społeczności Wybrzeża. Oczywiście głównym jej przeznaczeniem będzie dydaktyka, dlatego sala wykładowa od poniedziałku do czwartku, przeobrażać się będzie w czwartek wieczorem w salę konferencyjną lub koncertową, w zależności od potrzeb. Zachęcam do korzystania.

Tyle informacji ogólnych, które chciałem Państwu przekazać.

Ekscelencjo, księżę arcybiskupie Tadeuszu **Gocłowski**, zwracam się z prośbą o pobłogosławienie i poświęcenie tego obiektu, żeby nam służył jak najlepiej i żeby był wykorzystywany tylko do dobrych celów. Bardzo proszę, Ekscelencjo.

Po poświęceniu

Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Korzystając z Państwa obecności, chciałbym specjalnie podziękować tym, którzy w sposób szczególny przyczynili się do przekształcenia kotłowni w ten pełen harmonii wielofunkcyjny obiekt. Zacznę od najbliższych współpracowników. Najserdeczniejsze podziękowania kieruję do pani dyrektor Ewy **Mazur**, jej zastępców, dyrektorów Leszka **Wicikowskiego** i Krzysztofa **Lei**. Bardzo serdecznie dziękuję.

A teraz poproszę na scenę prezesa INPRO pana Piotra **Stefaniaka**, panią kierownik budowy Stanisławę **Dębkowską** i inspektora nadzoru pana Pawła **Żmudę-Trzebiatowskiego**. Poprosiłem Państwa na scenę, żeby wobec wszystkich zebranych wręczyć medale za zasługi. Jest to dowód najwyższej wdzięczności.

Panie Prezesie, chociaż dla pana nasza inwestycja to jeden z wielu placów budów, normalny biznes, ale zdążyłem zauważyć, że spędzał pan tu znacznie więcej czasu niż na innych budowach, zostawił pan tu kawałek swojego serca, bez pana osobistego zaangażowania sami nie dalibyśmy rady. Przekonałem się, że nie zawsze wysoki zysk jest najsilniejszym motywem działania. Bardzo dziękuję.

Pani Kierownik należą się szczególne słowa podziękowania. Była tu pani i jeszcze będzie przez pewien czas absolutnym, ale oświeconym władcą. Doskonale radzi sobie pani z setkami pracowników, dziesiątkami podwykonawców, dostawców, i jest pani zawsze tam, gdzie pani jest potrzebna, nic nie uchodzi pani uwadze i była pani od początku pełna optymizmu. Przy okazji przeproszam, że tempo, które narzuciłem, zmuszało do dawania z siebie wszystkiego, do organizowania współdziałania wielu ekip pracujących równocześnie w tym samym miejscu. Dziękuję, że budowała pani tak, jakby to był własny dom.

Panie Inspektorze. Nie jest to pierwsza budowa, jaką pan nadzorował w imieniu Politechniki. Wiem, że śni się pan po nocach wykonawcom, że nie przepuści pan żadnej "niedoróbki" i zawsze walczy w interesie Politechniki. Dziękuję za wszystko.

Pozostała jeszcze jedna ważna sprawa i proszę o wyrozumiałość, bo nie jest ona związana z otwarciem Auditorium Novum, ale ściśle dotyczy trójmiejskiego środowiska akademickiego.

Czy jest na sali lekarz? Proszę lekarzy o podniesienie ręki. Widzę, że jest dużo lekarzy. Bardzo się cieszę, iż tak wielu medyków odwiedziło techników. Nawet w tych trudnych czasach reformy lecznictwa można liczyć na Państwa. Zadając pytanie o lekarza, miałem na myśli konkretną osobę, lekarza, który jak nikt kojarzy się z akademicką służbą zdrowia - poproszę panią dyrektor Janinę **Borówko**.

Skończyła się pewna era akademickiej służby zdrowia. Od nowego roku usługi zdrowotne dla studentów i pracowników



uczelnii będą świadczone na zupełnie innych zasadach. Pani dyrektor przed ponad 35 laty całkowicie związała się z akademicką służbą zdrowia, tym żyła, była to dla Niej największa pasja i dalej się tej pasji poświęca. W podziękowaniu za trud, za gotowość do pomocy, za opiekę nad naszym zdrowiem bardzo dziękuję w imieniu całego trójmiejskiego środowiska akademickiego. A w uznaniu proszę przyjąć ten złoty medal za zasługi. Jest to drugi złoty medal przyznany przez rektora Politechniki w historii tej Uczelni. Jeszcze raz serdecznie dziękuję pani Dyrektor za wszystko.

Dzisiejsze spotkanie, w tak pięknej oprawie muzycznej, jest możliwe dzięki finansowemu wsparciu gdańskich oddziałów najlepszych banków działających w Polsce, ich logo są widoczne na zaproszeniach i na sali. Są to: Kredyt Bank PBI, Powszechna Kasa Oszczędności BP i Wielkopolski Bank Kredytowy SA. W imieniu Senatu Uczelni, Państwa i swoim własnym składam najserdeczniejsze podziękowania obecnym tu panom dyrektorom oddziałów tych banków, Józefowi **Jasiniakowi** i Waldemarowi **Stawskiemu**. Czy jest na sali pan Adam **Kisler**? Witam Pana i serdecznie dziękuję. Pytałem o Pana, bo nie znam Pana osobiście. Widzę, że wszyscy Panowie siedzicie razem, tworząc lożę bankową. Jeszcze raz serdecznie Panom dziękuję.

Po koncercie zapraszam na skromny poczęstunek. Smaczne kanapki przygotowały panie z naszego Klubu, wykwiłne wyroby z ryb promuje przyjaciel Politechniki, pan Zygmunt **Dyzmanski**, dyrektor Polrybu, na orzeźwiająco jak zwykle napoje NATY zapraszają przemili państwo marszałkowstwo Teresa i Jan **Zarębscy**.

Życzę miłego spędzenia wieczoru, dziękuję za przybycie, a teraz zapraszam na zasłużoną przerwę.

Po koncercie

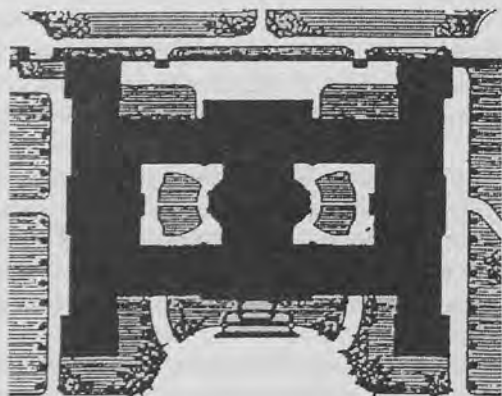
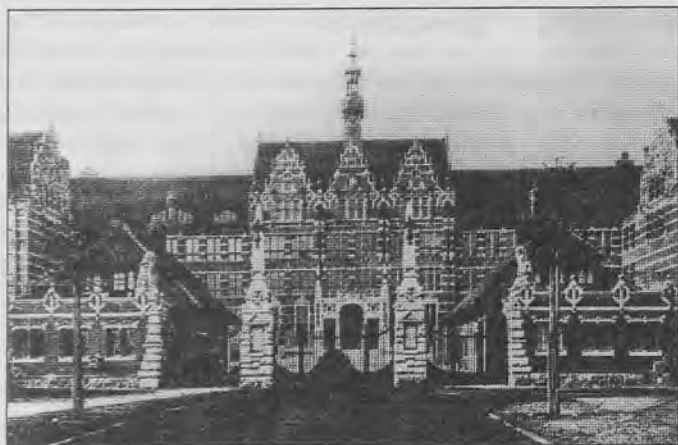
Maestro - zwracam się do Macieja **Niesiołowskiego**. Teraz już mogę powiedzieć, dlaczego przyjęliśmy tak duże tempo. W poniedziałek tej sali jeszcze nie było, jak to Pan raczył stwierdzić, a w piątek można było zaprosić gości i wykonać ten wspaniały koncert. Bardzo mi zależało na tym, żeby to właśnie Pan był gwiazdą tego wieczoru. Powiedziano mi, że następnym razem przyjedzie Pan do Gdańska dopiero za dwa lata, co oznaczałoby dwa lata oczekiwania na Pana i dwa lata zamknięcia tej sali.

Szanowni Państwo, po wysłuchaniu koncertu duch wprawdzie syty, ale ciało słabe. Zapraszam na poczęstunek.

*Rektor Politechniki Gdańskiej
prof. Aleksander Kołodziejczyk*

Z PRZESZŁOŚCI GMACHU GŁÓWNEGO PG

W dziejach naszej uczelni Gmach Główny pełni rolę kluczową. Tu bowiem mieszczą się nie tylko rozliczne sale dydaktyczne, ale także gabinety służbowe osób pełniących zasadnicze funkcje w kierowaniu działalnością i rozwojem uczelni. Odpowiednio do tych zadań budynek ten został znakomicie zaprojektowany i bardzo starannie zrealizowany. Szczegóły wystroju zewnętrznego i wyposażenia wewnętrznego musiały być wykonane nadzwyczaj pieczołowicie, gdyż na otwarcie Politechniki przybył król Prus, będący również cesarzem Rzeszy Niemieckiej. W okresie przed I wojną światową Gdańsk leżał w obrębie terytorium królestwa Prus, zatem obecność monarchy była wręcz konieczna. Uroczystość otwarcia odbyła się we czwartek, szóstego października 1904 roku. Ówczesny wygląd Gmachu Głównego ilustruje poniższa fotografia.



Pokazany tutaj planik przedstawia rzut poziomy tego budynku, którego front liczy 109 metrów. Wewnątrz obrysu budowli widać wyraźnie, że po obu stronach centralnego łącznika znajdowały się dwa niewielkie dziedzińce, kształtu niemal kwadratowego, o boku około 24 m. Powierzchnie te od dawna są zabudowane niskimi halami, dostępnymi z parterowego korytarza frontowego. Hale te istniały już w roku 1930. Wysokość pomieszczeń położonych na piętrach wynosi 5 metrów, natomiast przyziemie było niższe, bo jego wysokość sięgała tylko 4 metrów.

Środkowa część frontu Gmachu Głównego jest wyposażona w wystrój architektoniczny o szczególnie wyraźnym ukształtowaniu. Widać to z bogato zdobionego zespołu trzech ryzalitów, powiązanych z odcinkami dachu, biegnącymi prostopadłe do dachu głównego. W chwili oddania do użytku - z centralnej części dachu wyrastała okazała glorieta o znacznej wysokości.

Jej stalowa konstrukcja była dowiązana do stalowych dźwigarów dachu. Metalowa figurka, umieszczona na szczycie gloriety, wiązała się z charakterem budynku. Wskazanie zegara wieżowego widać było już od bramy wejściowej.

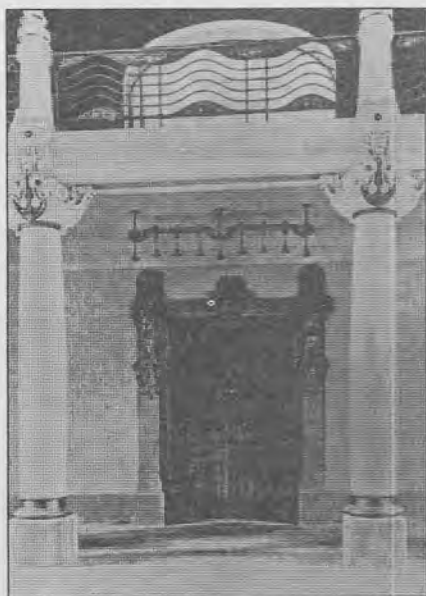


Środkowa część frontu Gmachu Głównego ()*

Reprezentacyjna aula liczyła 24 metry długości przy szerokości 12 metrów i sięgała od drugiego do trzeciego piętra. Oprócz wejścia głównego - miała jeszcze troje drzwi dodatkowych. W ścianie głównej, na poziomie III piętra, znajdowała się loża, dostępna z korytarza. Część prezydialna auli była umieszczona po tej samej stronie, jak obecnie. Ogólną pojemność sali przewidziano dla 800 osób. Piętro niżej mieścił się dużo mniejszy pokój obrad, przeznaczony dla senatu uczelni. Sąsiedował on z gabinetem rektora w takim układzie, jaki istnieje także obecnie. Biblioteka Politechniki dysponowała pomieszczeniami na poziomie pierwszego piętra, położonymi w zasadzie tam, gdzie znajdują się obecnie. Trzeba jednak podać, iż w miejscu obecnej Czytelni Ogólnej znajdował się magazyn książek, zaprojektowany na 50 000 tomów. Czytelnia dla profesorów i studentów była tam, gdzie dziś jest Czytelnia Czasopism.



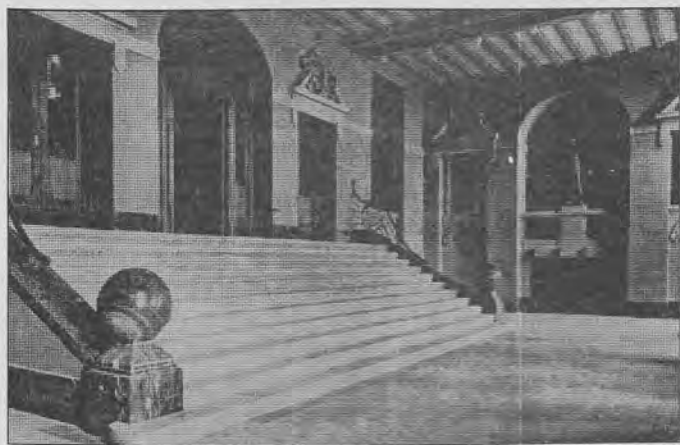
Aula. W głębi widoczna część prezydialna



*Główne wejście do auli z górnego hallu.
Na poziomie III piętra widać łóżę*

Do budynku prowadziły zewnętrzne schody, a drzwi wejściowe były ozdobnie wykute ze stali. Ich główne skrzydła są obecnie wmontowane na swoje miejsce, zaś skrzydła boczne umocowano do ściany. Za tymi wrotami otwierał się widok na przedsionek, którego obecna forma nieco odbiega od pierwotnej, ale część elementów zachowano.

Po pokonaniu niewysokiego przesła schodów wewnętrznych, przychodzący znajdował się w hallu parterowym. Hall ten miał tak dużą wysokość, że jego strop znajdował się na pozio-



Przedsionek Gmachu Głównego

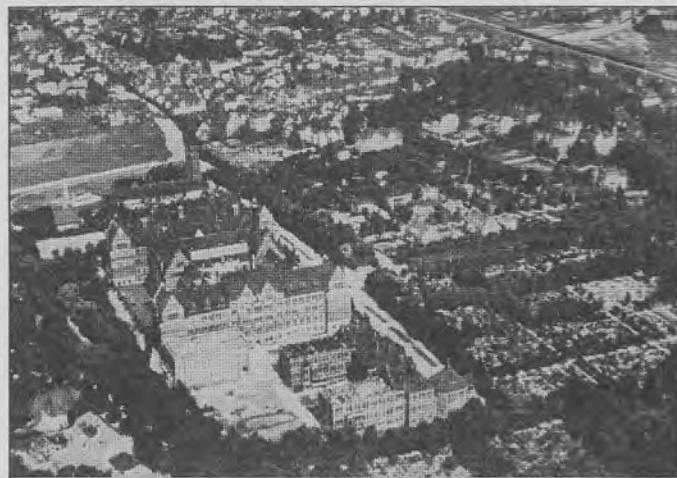
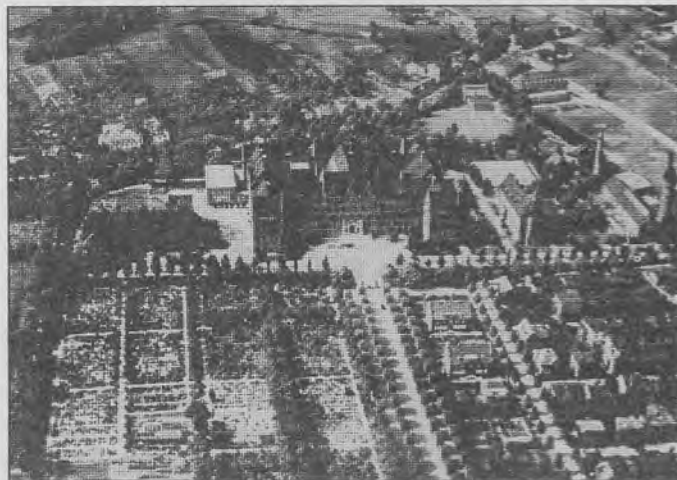


Hall dolny

mie stropów pomieszczeń położonych na pierwszym piętrze. Po obu stronach hallu linią spiralną biegły boczne klatki schodowe. Ich obecny kształt nie wykazuje istotnej różnicy w stosunku do dawnego układu.

Dwie następne fotografie pochodzą z lat trzydziestych. Fotografie lotnicze dobrze obrazują wygląd najbliższej części dzielnicy Wrzeszcz. Po prawej stronie ulicy Narutowicza widać zabudowę mieszkaniową; większość tych domów powstała pod koniec wieku XIX, ale dwa domy w lewo od ul. Puszkina pochodzą z lat 20.

Dolne zdjęcie dobrze pokazuje południowo-wschodnią stronę Gmachu Głównego, do której przybudowany jest dodatkowy człon, mieszczący Auditorium Maximum. W sąsiedztwie widać także budynek Wydziału Chemii, o wyglądzie niezmiennym od roku 1904.



Dopiero ostatnie dni marca roku 1945 przyniosły tragiczne zmiany w losach Gmachu Głównego. Wobec zbliżania się frontu wschodniego, w lutym 1945 r. zawieszono zajęcia dydaktyczne. Władze wojskowe ulokowały w tym budynku duży szpital polowy. W mniejszych gabinetach rozmieszczono sale zabiegowe i operacyjne - w dużych salach wykładowych piętrowo ustawiono stalowe łóżka dla rannych. Znaczna wysokość pomieszczeń pozwalała zastosować ustawienie typu "piętrowego". Szpital polowy działał bez zakłóceń aż do chwili, gdy Wrzeszcz został zajęty przez Armię Radziecką.

W przyległym kwartale zabudowy mieszkalnej nie doszło do jakiegś poważniejszej potyczki. Czołgi, nadciągające od strony Oliwy, raczej na postrach oddały kilka strzałów ze swych działek. Jeden pocisk trafił w politechniczną wieżę ciśnień, inny - w północny występ lewej strony Gmachu Głównego, jeszcze jeden - we front Wydziału Chemii.

Opis wydarzeń, jakie miały miejsce na terenie Gmachu Głównego w ostatnich dniach marca 1945 r., pochodzi z książki H. Wolfa pt. "Ich sage die Wahrheit oder ich schweige", otrzymanej w prezencie od rodowitego gdańszczanina, pana Horsta Ponczka z Helmstedt (RFN). Jest to poważna publikacja wspomnieniowa, napisana przez lekarza wojskowego, który od lutego 1945 r. należał do zespołu chirurgów pracujących w tym szpitalu polowym, jaki utworzono w Gmachu Głównym PG. Tutaj przytaczam tylko to, co wiąże się z tym obiektem. W książce nie są podane konkretne daty, jednak na podstawie innych publikacji można ustalić, iż opisane fakty wydarzyły się 27 marca 1945 r. i później.

Napływ rannych był ogromny. Gdzieś koło 20 marca operacje trwały aż do godzin po północy, tak że chirurdzy niemal ubrani rzucili się spać. Nad ranem okazało się, że cały personel szpitala po cichu zniknął, pozostawiając rannych na łaskę losu. Nie ewakuowali się tylko dwaj chirurdzy: dr Wolf oraz dr Zimmerhoff. Od następnego ranka obowiązki pielęgniarzy zastępczo objęli ci ranni, których stan już na to pozwalał. Niedługo jednak także dr Zimmerhoff postanowił porzucić swą funkcję, a nawet namawiał do tego swego kolegę; ten jednak nie odważył się opuścić rannych. Powstała sytuacja była znana pacjentom, ale nie wywołała paniki, natomiast przekleństwa sypały się gęsto. Na jakąś pomoc ze strony władz nie można było liczyć, bo sytuacja militarna była katastrofalna i działania bojowe związały wszelkie rezerwy.

"Początek końca" (jak Wolf zatytułował fragment swych wspomnień) zwiastowały pociski, trafiające w okna czy ściany: Rosjanie nadciągali. Dr Wolf założył na rękaw białą opaskę ze znakiem czerwonego krzyża, a na kiju od szczotki umocował biały ręcznik, co miało być znakiem kapitulacji szpitala. Bojowcy sowieccy wpadli do budynku i strzelali do poszczególnych sal. Dwie kobiety wojskowe chroniły lekarza aż do zaprzestania tej strzelaniny. Następnie mógł prowizorycznie zająć się rannymi, co było zadaniem okropnym. Reszta doby i noc minęły spokojnie.

Rankiem następnego dnia do doktora Wolfa przyszli dwaj radzieccy oficerowie i zaprowadzili go na przesłuchanie, które odbywało się we Wrzeszczu, w pewnej willi. Po drodze widział przeciągające tabory rosyjskie. Przesłuchiowano około 30 pojmanych oficerów niemieckich - stawiając im pytania na temat "psychologicznego podłoża" niemieckiej decyzji o zaatakowaniu ZSRR !!! Po zakończeniu przesłuchań jeden z tych oficerów, którzy sprowadzili Wolfa do owej willi, dołączył do niego trzech niemieckich sanitariuszy i tę grupę odprowadził z powrotem na Politechnikę.

Już ze znacznej odległości spostrzegli oni dym i zaduch pożaru, jaki szalał w Gmachu Głównym. Płonęły te pomieszczenia, które były zajęte przez szpital polowy. Przerazenie ogarnęło lekarza, gdy spostrzegł, że płoną sale, gdzie leżeli ranni. Widok ten poruszył też sowieckiego oficera, który grupę odprowadzał. Zatrzymał się i powiedział: "Dawaj, dawaj, rabotajte - voran, arbeit".

Koło budynku głównego, wprost na ziemi, leżały nadpalone zwłoki oraz umierający ranni. Niemki, które szukały schronienia w obiekcie szpitalnym, tworzyły czwórki usiłujące wynosić rannych z pożaru. Inne kobiety napinały sznury ratunkowe, zrobione z prześcieradeł. Ci ranni, którzy mieli sprawne ręce, tą drogą zsuwali się na ziemię. Żołnierze radzieccy dostrzegali ofiary jeszcze na rękach ratowniczek - a oficerowie temu się przyglądali. Większość ratowniczek zrezygnowała z udzielania pomocy, ale część nadal działała. Dr Wolf też włączył się do akcji, wynosząc rannych, których zarzucał sobie na plecy. Oca-

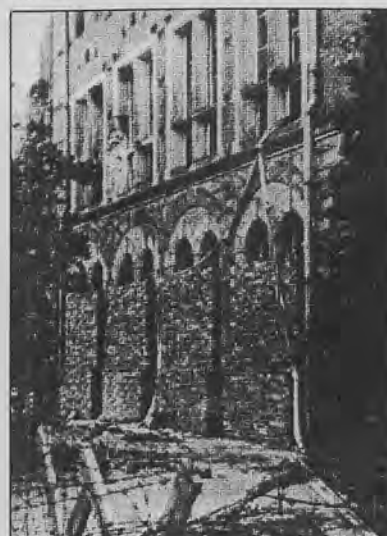


Na pierwszym piętrze okno sali A 154 ()*

lonych umieszczano w jednym z pobliskich instytutów Politechniki. Trzej sanitariusze, którzy dołączyli do doktora Wolfa, poprzednio byli przydzieleni do rannych, którym wykonano operacje głowy. Teraz udali się do tamtych pomieszczeń, gdyż one nie zostały objęte pożarem; rychło wrócili, bo wszyscy pacjenci leżeli w łóżkach zastrzeleni.

Następna noc zaczęła się spokojnie, ale w pewnej chwili nadeszła grupa rosyjskich żołnierzy pod wodzą jakiegoś komisarza. W świetle latarek biały fartuch Wolfa wskazywał wyraźnie, kim on jest; przedstawił się jako szef szpitala. Komisarz przybył dokonać przeglądu, gdyż poszukiwał członków SS oraz własowców. Latarką oświetlał twarze uratowanych rannych, a jeżeli próbowali zasłonić się - to na swoim legowisku zostawali zabici.

Rankiem, po tej strasznej nocy, na teren Politechniki wjechały rosyjskie tabory, posługujące się konnymi wozami rolniczymi. W ładunku znajdowały się produkty spożywcze, jak chleb i mąka. Nieumundurowani wozacy pozostawali pod komendą kilku oficerów, a najwyższym z nich był major. On to rozkazał wyłączyć z ładunku bochenki chleba, worek mąki i dużą kulę masła, zawiniętą w papier; dodatkowo pozostawiono też koszyk zawierający 30 jajek. Następnie major zaprosił dr. Wolfa do udziału w oficerskim posiłku. Gorący kapuśniak na solonym mięsie i razowy chleb były "okraszone" wódką. Na zakończenie odbyła się wymiana pocałunków między wszystkimi uczestnikami. Przed wyruszeniem w dalszą drogę major wysłał gońca



Mur przeciwodłamkowy osłaniający salę A 54 ()*

do następnego taboru żywnościowego z notatką na temat sytuacji w tym szpitalu.

W następną noc nastąpił ponowny przegląd rannych, przeprowadzony przez inną ekipę, również poszukującą SS-manów oraz własowców. Teraz jednak ranni już twarzy nie zasłaniaли.

Na tym kończę streszczenie relacji doktora Horsta Wolfa.

Przechodzę teraz do własnych wspomnień, których początek wypada w dniu 27 września 1945 r., kiedy pierwszy raz przyszedłem na teren naszej Uczelni. Zamieszczam tutaj zdjęcie pokazujące ówczesny wygląd frontu Gmachu Głównego; fotografia ta została wykonana w pierwszym tygodniu kwietnia 1945.



(*)

Wiele sal było całkowicie wypalonych przez tak gwałtowny pożar, iż w ścianach tkwiły jedynie gołe dwuteowe dźwigary stalowe. W niektórych miejscach wisiały na nich skrzycone stalowe stelaże pozostałe po łóżkach szpitalnych. W jednej z sal na wraku łóżka można było zobaczyć zwęglone zwłoki. Zamiast hallu górnego i dolnego otwierała się pusta przestrzeń, zasypana gruzem. Korytarze, chociaż wypalone, nie uległy zawaleniu. Część pomieszczeń Gmachu Głównego była natomiast świetnie zachowana.

Jako przykład można przytoczyć salę wykładową, która wówczas nosiła numer "101" (obecnie 264). Nad tablicą wisiał wielki model suwaka logarytmicznego, bardzo przydatny na początkowych wykładach z matematyki. Trzeba tutaj zaznaczyć, iż obecnie sala ta jest skrócona, gdyż jej część zajęto na przejście do skrzydła "B". Sąsiedni gabinet, dawniej "102" (teraz 263), także nie był spalony. Dalsze sale na tym poziomie wymagały jednak odbudowy. Już na początku czerwca 1946 mieściła się tam Katedra Matematyki, gdzie zdawałem kolokwium z tego przedmiotu. Po stronie frontowej miejsca wypalone tworzyły dziwną mozaikę. Kompletnie zniszczone były sale "151" - "153" (obecnie klub) oraz sale "251" - "253" (Centrum Informatyczne), leżące w tym samym pionie. Natomiast nieuszkodzone pozostały sale "351" - "353" oraz kreślarnia "451A" - "451C", istniejące nad pomieszczeniami wypalonymi. W tej kreślarni wykonywałem ćwiczenia z *rysunku technicznego*. W niezniszczonej sali "452" mieliśmy ćwiczenia z *geometrii wykreślnej*.

Te fakty wskazują wyraźnie, iż pożar nie przenosił się samorzutnie z jednego pomieszczenia do drugiego. Miejsca zniszczone musiały być umyślnie podpalone. Wzmianki na ten temat nie ma we wspomnieniach Wolfa, gdyż podpalanie musiało odbywać się w tym czasie, kiedy był on odprowadzony na przesłuchanie. Jeden z moich kolegów, mający solidne przygotowanie z zakresu wiedzy wojskowej, wyrażał pogląd, iż do podpalania stosowano miotacze ognia.

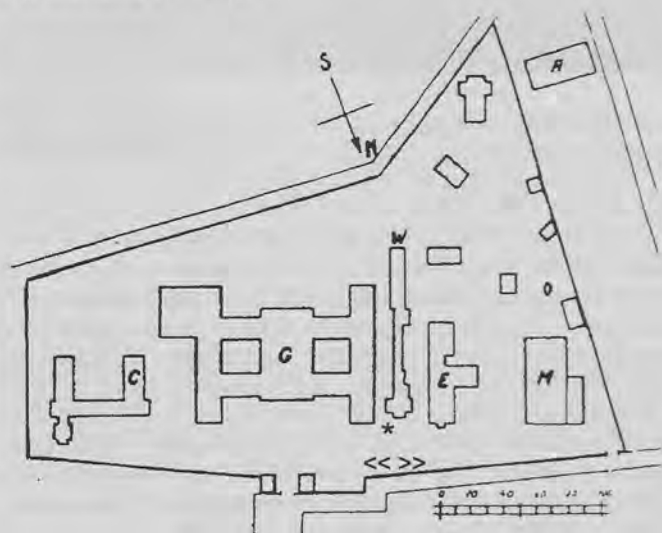
Jeszcze teraz można rozpoznać sale, które w marcu 1945 roku zostały podpalone. Żar ognia był tak wielki, iż zaprawa wiążąca cegły-licówki nad otworami okiennymi skruszała i po-



(*)

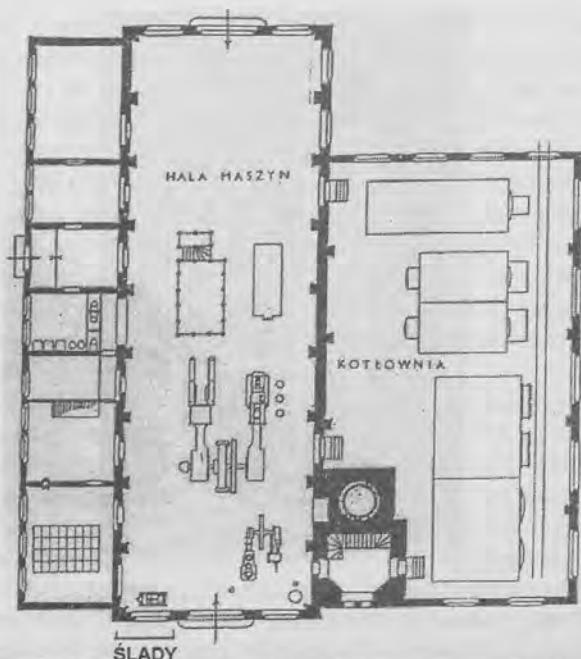
wstały ubytki. Uzupełniono je podczas rekonstrukcji, ale użyte cegły mają jaśniejszą barwę. Pozwala to obiektywnie rozpoznać rozległość zniszczeń. Jako przykład powyżej zamieszczam widok centralnej części Gmachu Głównego od strony ul. Traugutta, pochodzący z roku 1945.

Wiosną roku 1946 nasze władze przeprowadziły ekshumację mogił, jakie znajdowały się na terenie Politechniki. Pod szpalem ozdobnych dębów, jakie rosną przy placu od strony ulicy Brackiej, wykopano kilkanaście zwłok, które umieszczono osobno w bardzo skromnych, prostych trumnach drewnianych. Znacznie mniej zwłok, bodaj pięć, wykopano na trawniku przed małym budynkiem (ówczesny "Instytut Wodny"), stojącym między Gmachem Głównym a Wydziałem Elektrycznym. Nie było zrozumiałe, czemu te zwłoki pochowano w innym miejscu (*), niż resztę (<< >>).



Poprzednią relację z wydarzeń, jakie rozegrały się na Politechnice w ostatnich dniach marca 1945, warto uzupełnić moimi spostrzeżeniami, poczynionymi jesienią 1995 r. Po lekturze książki H. Wolfa przemówiły do mnie ślady pocisków z broni ręcznej, istniejące na frontowej ścianie Laboratorium Maszynowego.

Widywałem je codziennie od września 1946 do grudnia 1948, kiedy mieszkając przy ul. Sobótki - na uczelnię wchodziłem przez boczną bramę. Brama ta, dawno zlikwidowana, znajdowała się koło skrzyżowania ulic Łukasiewicza i Brackiej. Zauważone ślady dawniej uznawałem za zwykłe "pamiątki" minionych działań zbrojnych. We wspomnieniach dr. Wolfa dwa razy występują sowieckie ekipy poszukujące SS-manów



i własowców. Jakaś ekipa tego rodzaju mogła napotkać kilku mężczyzn i uznać ich za osoby przewidziane do likwidacji.

Powyższa fotografia pokazuje miejsce, gdzie występują ślady kul, tworzące zgrupowania o niewielkim rozrzucie. Licząc od narożnika budynku, kolejne skupiska znajdują się w odległości 25, 85, 170, 240 oraz 315 cm. Wysokość środka poszczególnych grup śladów jest zróżnicowana i wynosi kolejno: 115, 140, 155, 170, 170 cm. Te dane wskazują, iż pierwsza z ofiar została zabita w pozycji klęczącej, a pozostałe - na stojąco, ale znacznie różniły się wzrostem. Może pierwszy zabity był z SS - a pozostali z innych formacji? Nie mogli to być niemieccy dezercy, zlikwidowani przez siły porządkowe; w takim przypadku stosowano wieszanie, bo sytuacja bojowa nakazywała oszczędzać amunicję. Egzekucję wykonano za pomocą pistoletów maszynowych - a ofiarami nie byli sprawcy podpalenia szpitala, bo w takim razie egzekucja byłaby przeprowadzona pod ścianą Gmachu Głównego, a odnośna wzmianka znalazłaby się we wspomnieniach dr. Wolfa.

Można przypuścić, że pochowanie tych pięciu ofiar przeprowadziły osoby opiekujące się rannymi. Osobne miejsce grobu zdaje się wskazywać, że mogło tu chodzić o maruderów z armii rosyjskiej.

Teraz pora zająć się wydarzeniami z okresu powojennego. Odgruzowanie Gmachu Głównego, prowadzone przez napływających przyszłych studentów, podjęto już pod koniec lata 1945 roku. Prace porządkowe i zabezpieczające prowadzono tak energicznie, że już 22 października nastąpiło rozpoczęcie zajęć dydaktycznych. Użytkowano tylko te pomieszczenia, które ocalały z pożogi. Równolegle działały ekipy przedsiębior-

stwa budowlanego, realizujące poważniejsze zadania. Już w czerwcu 1946 roku kolokwia z matematyki były prowadzone w odbudowanej sali 262, zaś odbudowa pomieszczeń w skrzydle równoległym do ulicy Traugutta postępowała szybko. Proces odbudowy Gmachu Głównego został przedstawiony w artykule prof. dr. Bronisława Bukowskiego, który zamieszczono w *Czasopiśmie Naukowo-Technicznym Studentów Politechnik Krajowych "Politechnika"* w numerze 5/6 z 1947 roku.

Ten dość obszerny artykuł ilustrują liczne zdjęcia, pokazujące zarówno stan przedwojenny, jak i ówczesnie występujące zniszczenia. Informację o tym, co spotkało Gmach Główny, dają dane liczbowe: spłonęła biblioteka (100 000 tomów), wypaliło się około 60% kubatury; z ogólnej liczby 270 - ocalało 160 pomieszczeń.

Wydaje się, że warto tutaj dosłownie zacytować część opisu. "Runął strop nad hallem II piętra na skutek rozłupania się od gorącą słupów granitowych ... i na szczęście sklepienie murywane nad holem parterowym wytrzymało uderzenie i ciężar rumowiska, mimo że samo było nadwyrężone od pożaru. Runęły również prawie wszystkie stropy auli, biblioteki itd. Niewiele lepiej przedstawiają się poprzeczne trakty łączące środkowy korpus z bocznymi skrzydłami. Z tylnych traktów pozostały prawie tylko same ściany i belki stropowe, a i przednie trakty zniszczone są w ok. 50%, przy czym spaliły się kryty i zawałiła się większa część stropów. Wypaliły się również wewnętrzne podwórza kryte, zawierające zbiory kolejnictwa i zbiory wydziału mechanicznego.

O wiele lepiej wyszły z pożaru lewe i prawe skrzydło, gdzie wypaliły się właściwie tylko kreślarnie, służące za sale szpitalne, ale zachowały się sale wykładowe, gabinety profesorów, a nawet biblioteki podręczne przy katedrach. W rezultacie uległy zniszczeniu biblioteka główna, zbiory wydziału architektury, wydziału inżynierii i wydziału okrętowego (częściowo) oraz przynależne do zbiorów sale i gabinety. W zgliszczach znaleziono ok. 800 trupów."

Gmach Główny rychło powrócił do życia, chociaż poszczególne jego fragmenty były odtwarzane kolejno. Nie pamiętam już, w którym roku oddano do użytku aulę o stropie budzącym zachwyty dzięki swemu artystycznemu ukształtowaniu, zrealizowanym w szlachetnym drewnie. W tej właśnie sali odbywają się kolejne uroczyste inauguracje roku akademickiego. Tam też wręczane są dyplomy doktorskie, uzyskane na naszej Uczelni.

Jerzy Sawicki

Wydział Elektryczny

Zdjęcia oznaczone () pochodzą z Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej.*



Uczeni w anegdocie

Achmatowicz Osman ur. 16 IV 1899 r. na Wileńszczyźnie był z pochodzenia Tatarom. Chemik - organik, w młodości student sir Roberta Robinsona (Oxford), laureata nagrody Nobla, członek PAN, profesor uniwersytetu w Warszawie w latach 1934-1939. Po wojnie w latach 1945-1953 był profesorem nowo powstałej (24 V 1945 r.) Politechniki Łódzkiej, której jestem absolwentką.

Od pierwszych chwil istnienia tej uczelni piastował godność prorektora, a następnie od 1948 r. rektora - kierując nią przez 4 lata, aż do swojego wyjazdu do Warszawy w 1953 r.

Był więc w owym czasie moim profesorem chemii organicznej, w późniejszych latach został ministrem Nauki i Szkolnictwa Wyższego PRL; autor wielu prac z zakresu chemii alkaloidów terpenów i preparatywnej chemii organicznej.

Profesor Achmatowicz był człowiekiem surowym, ale równocześnie miłym i sympatycznym w obęjściu, o dużej kulturze osobistej. A jednak stanowił postrach swoich asystentów i pracowników, a przede wszystkim studentów. Zanim trafiliśmy do pracowni preparatyki organicznej, byliśmy już niezłe poinformowani o zwyczajach profesora i jego sposobie bycia.

Nic więc dziwnego, że z drżeniem serca i łudek stawiliśmy się na pierwsze z nim spotkanie. Profesor był bardzo miły, wręcz koleżeński. Najpierw poinformował nas o tym, że ma świeżo założoną sztuczną szczękę i przeproszał mówiąc, że będzie trochę "świszczał". Przedstawił następnie swój pogląd na metody i sposoby studiowania, na naukę w ogóle, a na naukę chemii organicznej w szczególności.

Sam bowiem - jak powiedział - studiował ją bardzo dokładnie na uniwersytecie przez wiele, wiele lat. Nieciekawa była to dla nas perspektywa!

I - jak się okazało - dla niektórych z nas oznaczało to wielokrotne zdawanie egzaminu u pana profesora Achmatowicza. A był on przy tym miły i sympatyczny, a nawet przyjacielski. Witął szerokim uśmiechem delikwenta zdającego egzamin po raz już tam któryś z rzędu, zaciągając z wileńska: "Nu, witam pana studentie, ja się już zdążył przyzwyczaić do pana i polubić. Proszę dalej, i jak to dziś przedstawia się pański zasób wiedzy z dziedziny chemii organicznej?"

Asystenci chodzili na palcach i w obecności profesora ledwie ośmielali się oddychać, a profesor często jak tajfun przebiegał przez pracownię preparatyki, co wrażliwi studenci chowali się po kątach. Profesor zaś zatrzymywał się przy stanowisku laboratoryjnym, gdzie nie było żywej duszy, a mimo to coś się gotowało w erlenmayerce i gulgotało przy destylacji w kolbie, i pytał gromkim głosem: "A cóż to takiego? Czy tu duch jakis pracuje? Gdy on się zjawi, ten duch, ma natychmiast stawić się także w moim gabinecie!" Lepiej nie wiedzieć, co czekało biednego, i tak już chorego ze strachu - studenta.

Słowa profesora były święte. Kiedyś ktoś, jakiś dowcipniś zapewne, zdobył odręcznie napisaną przez profesora karteczkę ze słowami: "nie zamykać - samo się zamknie!" Nikt nie wiedział czego napis ten dotyczył, a dowcipniś karteczkę tę zawiesił na otwartym kranie przy zlewku. I co powiecie państwo? Wbrew najlogiczniejszej logice nikt nie ośmielił się zakręcić kranu, a woda lała się, podtapiając całe laboratorium (podobno lało się przez całą noc!).

Takie to i temu podobne różne przygody, których dziś się prawie nie pamięta, przeżywalimy w pracowni preparatyki organicznej. Niektóre były drastyczne, jak ta, która mogła skończyć się tragicznie, gdy któryś ze studentów nieświadomie wylał do muszli klozetowej resztki metalicznego sodu i rozsadził ją dokładnie. Jednak wszystkie te zdarzenia i przygody, te miłe i te mniej miłe, będą się nam zawsze jawiły jako przeżycia młodości związane z latami studiów, które pamięta się całe życie.

A na zakończenie dorzucę jeszcze jedną anegdotę dotyczącą pana profesora Achmatowicza, opowiedzianą mi niedawno przez moją koleżankę ze studiów, która nieoczekiwanie dla mnie zjawiła się w Gdańsku, jako delegatka Klubu Seniora Politechniki Łódzkiej na spotkanie seniorów wyższych szkół technicznych, zorganizowane przez nasz Klub Seniora w czerwcu ubiegłego roku. I oto po prawie pięćdziesięciu latach spotkałam miłą memu sercu koleżankę panią dr Krystynę, ongiś Matuszkiewicz, obecnie Bogusławska. Jej mąż Leszek, to także nasz były kolega z roku. Krysia, wiedząc o moim zamiarze napisania do PISMA PG wspomnień o profesorze Achmatowiczu, dorzuciła mi jeszcze jedną o nim anegdotkę, którą tu skrętnie przedstawiam. Anegdotkę tę usłyszała z kolei od prof. Józefowicza - naszego wykładowcy chemii nieorganicznej.

Pewnego dnia spotkali się na terenie uczelni profesorowie Józefowicz i Achmatowicz. W trakcie rozmowy profesor Achmatowicz zapytał: "Panie profesorze, jak rozmagnesować stal?" Prof. Józefowicz: "Wyżarzyć w płomieniu". Profesor Achmatowicz: "Nie nadaje się". Profesor Józefowicz: "Można też zastosować silne uderzenie, cisnąć na podłogę". Profesor Achmatowicz: "Nie nadaje się". Profesor Józefowicz: "A co pan profesor chce rozmagnesować?". Profesor Achmatowicz: "Synowie namagnesowali mi zegarek". Koniec anegdoty.

Koleżanka dodaje, że anegdotę tę już rok temu przekazała do ich uczelnianej komisji historycznej, która miała zamiar wydać pracę pod tytułem *Politechnika Łódzka w anegdocie*.

Ale na razie nie wydała. I w ten oto sposób otrzymałam pozwolenie na umieszczenie jej w naszym PIŚMIE.

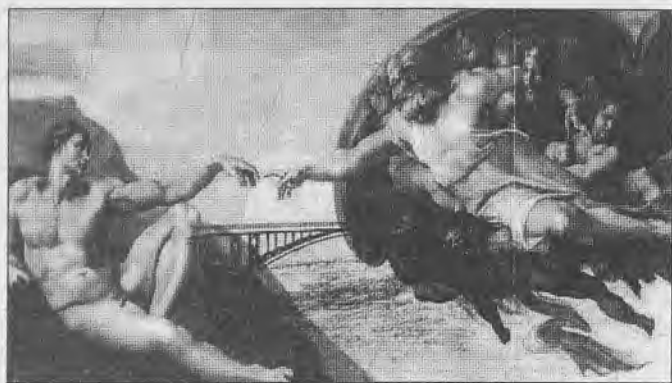
Jadwiga Lipińska
Klub Seniora



*Autorka w czasach studenckich
na Politechnice Łódzkiej*

MEDYTACJA JUBILEUSZOWA

*Motto: Ibi semper est victoria,
ubi concordia est*



Rys. 1

PISMO PG obchodziło niedawno pięciolecie swojego istnienia, dziś natomiast święci Jubileusz opublikowania pięćdziesiątego numeru. Każda taka chwila zawsze może skłaniać do refleksji, także - ogólniejszej. Niech zatem okoliczność Złotego Jubileuszu - co do liczby wydanych numerów naszego PISMA PG - będzie stosowną okazją do takiej zadumy.

Podstawą przemyśleń będzie most, owa bliska autorowi konstrukcja, mająca w swej formie i funkcji dobitną wymowę łącznika - kłamry spinającej sprawę ducha i ciała (rys. 1). Jak wiele mówią nam dwa wcześniej niezależne, piękne wytwory natury po swym połączeniu przez człowieka; tworzą one całkiem nową, bardzo wyraźną jakość (rys. 2). Most może też symbolizować przejście człowieka nad mroczną i głęboką przepaścią (rys. 3), chybotliwą, wąską drogę życia ludzkiego - ginącą w gąszczu niewiadomego (rys. 4) lub też podkreślającą swą skończoność (rys. 5). Często też, w innej perspektywie, most sprawia wrażenie bramy w inną, nieznaną rzeczywistość (rys. 6). Most bywa również pozytywnym symbolem ludzkiego intelektu i pracowitości. Dobrym przykładem może tu być budowa mostu wiszącego, gdzie jego pajęczynowate cięgna nośne zawierają w sobie wiele różnorodnej, ale zarazem - rygorystycznie zdyscyplinowanej, wiedzy i pracy człowieka (rys. 7); w nocy dochodzi tu jeszcze element tajemniczości (rys. 8).

Ten "mostowy" charakter powyższych spostrzeżeń niech będzie wstępem do rozważań szerszej natury. Emerytalny wiek autora sprawia, że jest on skłonny do sięgania myślami w prze-

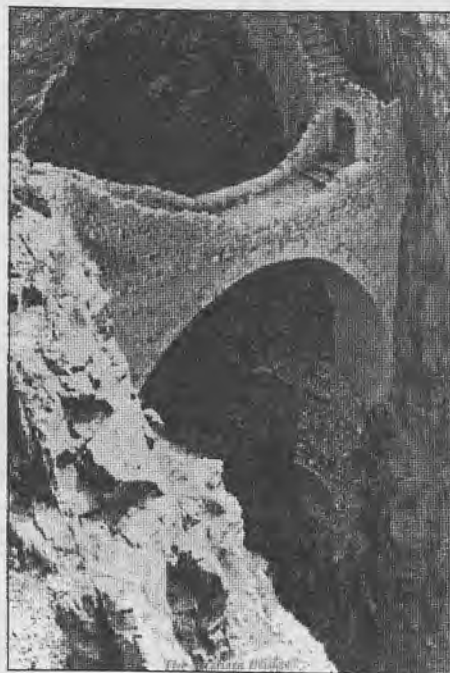


Rys. 2

szłość dalszą i bliższą - do budowania porównań w sferze ideałów i stylów życiowych, praktykowanych przez jednostki i zbiorowości kiedyś i dziś. Czasy, w których żyjemy, sprawiają, że myśli autora ogniskują się na naszych polskich losach.

Zatem, ograniczmy się tu głównie do naszej kulebki i jej otoczenia - wg Galla Anonima (XI-XII w.) - kraju, "gdzie powietrze zdrowe, pola żyzne, las miodopłynny, wody rybne, rycerze dzielni, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły do orki pilne, krowy mleczne a owce wehiste...".

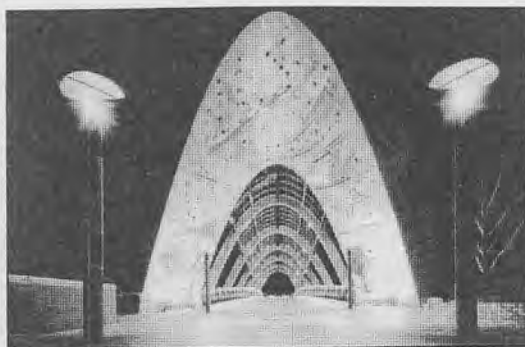
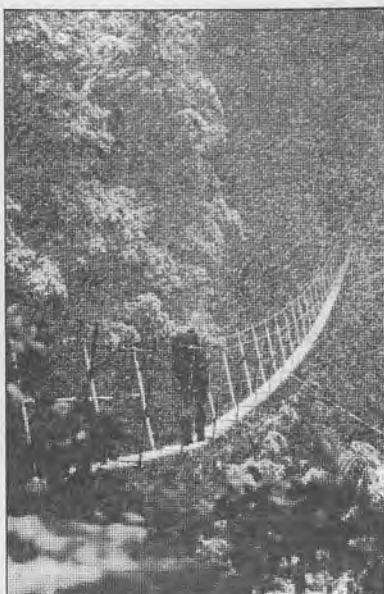
Helmold (ok. 1125 do 1177), proboszcz z Bożowa - Wagria (dziś Bosau - Holstein, Niemcy), niemiecki dziejopis Słowian Zachodnich, w swojej *Chronica Slavorum* pisze: "Słowianie brzydzą się kłamstwem i zdradą, a kto im zaufa, nie zawiedzie się na ich wierności ..." i "... jaśnieją wielu wrodzonymi przymiotami. Odznaczają się gościnnością, a rodzicom okazują winną cześć. Nie ma też u nich ubogich ani żebraków. Skoro



Rys. 3

bowiem znajdzie się pomiędzy nimi człowiek chory czy zgrzybiały, poruczają go opiece jednego z jego potomków, który jest obowiązany pielęgnować go z całą ludzkością". Zaś Herbord z Michelsbergu († 1168) żywotopisarz św. Ottona (ok. 1060-1139) - biskupa Bambergu i Apostoła Pomorza, wspomina w swej kronice *Vita Ottonis episcopi Babenbergensis*, "... nie najdziesz między nimi złodziei albo oszustów... Bardzo się dziwili, widząc, że tobołki nasze i skrzynie są pozamykane. Oni odzież swoją, pieniądze i wszelkie cenności trzymają w beczkach lub stągwiach zaledwie przykrytych. Nie obawiają się żadnego podstępu, bo go sami nie uprawiają..." Czy zalety te zniosły próbę czasu?

Obok zalet wymieniano też wady naszych praocjów. Tomasz Kantzow (ok. 1505-1542), pisarz na dworze książąt pomorskich Barnima XI i Jerzego I, w swoim dziele *Pomerania*, opisując apostołską działalność tegoż św. Ottona, nadmienia, że biskup "Przedstawiał, jak szpetną jest rzeczą trzymać kilka żon, zamiast jednej poślubionej małżonki, i jak straszny sąd Boży grozi



Rys. 6

Rys. 4

Rys. 5

tym, którzy niemowlęta, dzieciaczki rodzone, dlatego że są córkami, wnoszą do lasu bestiom dzikim na pożarcie albo na śmierć z chłodu i głodu...”, dodając: “Kto owoc swoich wnętrzności niszczy i życie dane przez Stwórcę uśmierca, równy jest w winie mężobójcy i łotrowi...”

Autor chciałby tu jednak zatrzymać się bardziej przy innych właściwościach charakteru naszych protoplastów, które mają wpływ na powstawanie, rozwój i trwanie organizmów państwowych - nawet na ich postać dzisiejszą. Maurycjusz (ok. 539-602), cesarz bizantyjski od r. 582, pisze o Słowianach: “... gdy zajdzie między nimi różnica zdań, nie dojdą do zgody... jako że każdy myśli co innego i żaden nie chce ustąpić drugiemu...”, zaś bliższy nam geograficznie kronikarz niemiecki, biskup Merseburga Thietmar (975-1018), pisząc o Słowianach Połabskich, nadmienia: “Swoje ważne sprawy rozstrzygają na zgromadzeniu drogą wspólnej narady i aby doprowadzić jakąś rzecz do skutku, muszą wszyscy wyrazić na to zgodę. Jeżeli któryś z obecnych sprzeciwia się powziętemu postanowieniu, okładają go kijami...”

Wreszcie, Ibrahim ibn Jakub (Abraham ben Jakub z Tortosy - X w.), podróżnik żydowski z Hiszpanii - najbliższy nam geograficznie, bo opisujący państwo polskie Mieszka I - dodaje:

“Słowianie są skorzy do zaczepki i gwałtowni, i gdyby nie ich niezgoda wywołana mnogością szczepów, żaden lud nie zdołałby im sprostać w sile. Zamieszkują oni krainy najbogatsze w plony i najzasobniejsze w środki żywności. Oddają się ze szczególną gorliwością rolnictwu...”

Porównując ówczesnych Słowian i Germanów i ich polityczną dojrzałość, nasi współcześni - nieżyjący już pisarze Zofia Kossak i Zygmunt Szatkowski, wyrażają w swej książce *Troja Północy* następującą opinię: “Germanie wcześniej od Słowian osiedli na zajmowanych przez siebie ziemiach. Przez kilka wieków sąsiedowali z rzymskim imperium i to nie z próchniejącą ruiną, jaką oglądali Słowianie południowi, lecz pełnym jeszcze potęgą i mocą państwem Juliusza Cezara. Kilka pokoleń trwające zacięte walki Rzymian z barbarzyńcami wpoity Germanom podziw dla świetnej rzymskiej organizacji cywilnej i wojskowej, nauczyły ich naśladować ją. Zetknięcie, acz przymusowe, z rzymską cywilizacją, dało im rzecz jeszcze ważniejszą, mianowicie: zmysł państwowy. Pojęcie, że siła rodzi się ze wspólnego działania. Tej zasadniczej prawdy Słowianie nie znają.” Na tle niewykorzystania zwycięstwa w powstaniu Słowian Połabskich w r. 983, autorzy ci dodają: “Wypędzili wroga i zadowoleni wracają do domów, by tam podejmować zwyczaj-



Rys. 7



Rys. 9

ne swe sąsiedzkie spory”. Ludów tych dzisiaj już nie ma - pozostały po nich tylko swojsko brzmiące nazwy miejscowości: Grabow, Krakow, Rakow, Sarnow, Tarnow, Warsaw, a "na okrasie" - Gnoien, i wiele innych.

Po wielu latach od tamtych czasów, w zupełnie innej orientacji politycznej, warto nam dziś pamiętać o swojej ziemi rodzinnej i o niebezpieczeństwach płynących z domowej niezgody. Bądźmy też obecni wszędzie tam, gdzie zapadają decyzje ponadnarodowe, umiając tamże przekonująco bronić racji swej ojczyzny. Delegujmy we wszystkie te miejsca naszych przedstawicieli - przede wszystkim wykształconych i obytych, ale też silnych duchem i praktycznymi umiejętnościami przekonywania. Bierzmy przykład z narodów, które bardzo często są od nas znacznie mniejsze pod względem liczby ludności i obszaru terytorialnego, ale potrafią zdobyć więcej uznania u obcych niż my. Zależy to od każdego z nas - wszyscy jesteśmy ambasadorami naszego kraju i tak jak nas oceniać będą, taką notę otrzyma też Polska. Zdajmy sobie sprawę, że pod tym względem czeka nas jeszcze olbrzymia praca; wszak *Polish Jokes* nie biorą się z niczego.

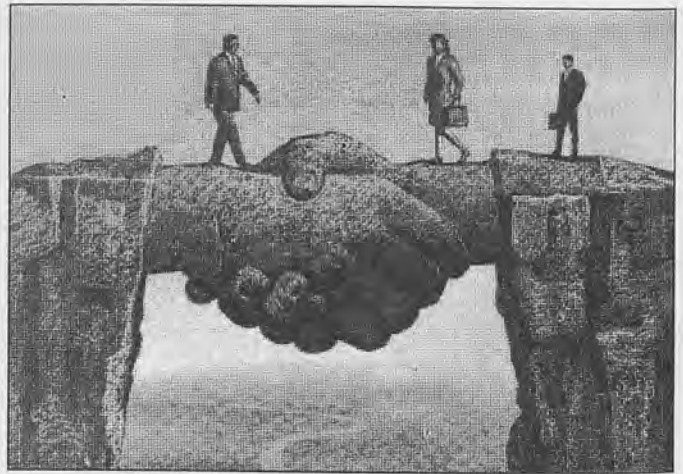
Nasze młode pokolenie czyni dobrze, gdy autentycznie dąży do wiedzy; trzeba ją jeszcze umieć dobrze sprzedać, choć nie za każdą cenę. Dzieje się też dobrze, gdy pokolenie to wychodzi z zaścianka i mierzy się z wyzwaniami dziejącymi się poza



Rys. 8

domem, także za granicą. Z drugiej jednak strony nie wolno uważać, że zjadło się wszystkie rozumy i popadać w samouwielbienie - w poczucie, że Polska jest "pępkiem" świata. Za granicą nasze sprawy są mało znane i nie bywają przedmiotem zainteresowania. Dowody na to dają codziennie zagraniczne media, gdzie o Polsce jest głucho, a także poziom dotyczącej tych spraw wiedzy zagranicznych rozmówców, nawet tych wykształconych, dla których nasza ojczyzna jest często "krajem księżycowym".

Wydaje się, że warunkiem zmiany tych spraw na lepsze jest, przede wszystkim, nasza własna siła; dobra i efektywna polska gospodarka winna dziś być tej siły najpierwszym wyrazem. Warto tu może powołać się na słowa: "Każdemu, kto ma, będzie dodane, a temu, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma." (Łk 19, 26) oraz "Pozyskujecie sobie przyjaciół niegodziwym pieniądzem..." (Łk 16, 9). Trzeba też pamiętać, że "Gdy mocarz uzbrojony strzeże swego domu, bezpieczne jest jego mienie". (Łk 11, 21). Jednakże, wypada tu mieć dużo roztropności i znać właściwe proporcje, bowiem "... trudno jest wejść do Królestwa Bożego tym, co w dostatkach pokładają zaufanie." (Mt 10,24). Ostatecznie, dobrze jest mieć świadomość tego, że "Nie samym chlebem żyje człowiek..." (Mt 4,4). Te ostatnie stwierdzenia nie stoją w sprzeczności z ideą dobrego i solidnego gospodarowa-



Rys. 10

nia, wszak człowiek powinien czynić sobie ziemię poddaną (Rdz 1, 28).

Jeśli, w tym kontekście, powróć na chwilę w obszar nam bliższy, a więc - do udziału inżynierów w tym gospodarowaniu, to warto zauważyć, że są oni, a specjaliści budownictwa - w szczególności, nazywani synami Marty (rys. 9). Pamiętamy, że Marta miała siostrę Marię. Podczas gdy pierwsza "uwijała się koło rozmaitych posług", druga wsłuchiwała się w słowa Pana; według Jego słów "Maria najlepszą część obrała" (Łk 10, 38-42). Płyńcie stąd wniosek, że troszcząc się o swą pracę dnia codziennego i zajmując się odpowiedziami na pytanie "jak?", nie powinniśmy jednak zapominać o szerszym tle naszej pracy, zastanawiając się nad odpowiedziami na pytanie "dlaczego?" - także wówczas, gdy dziś trudzimy się w szczególnie sposób nad wzrostem materialnym naszej gospodarki.

Zatem rozwój ekonomiczny kraju, mający za tło także nasze potrzeby duchowe, niech będzie dziś naczelnym zadaniem nas wszystkich. Rozwój ten może się odbywać tylko w atmosferze zgody i wzajemnego poszanowania; wszak "Każde Królestwo w sobie rozdwojone, pustoszeje" (Mt 12,55). I tu wracamy do zaprezentowanej na wstępie idei mostu, wznoszącego się nad małostkami, ambicjami i partykularyzmem jednostek i grup - łączącego przeciwstawne niekiedy interesy (rys. 10). Jeśli idea ta znajdzie swą praktyczną realizację, szary obywatel będzie mógł się poczuć rzeczywiście u siebie. Czy nasze elity i ich zaplecza do tego dorosły? Czy nie grozi nam raczej podróz w niepewną przyszłość (rys. 11)?

Zbigniew Cywiński
Wydział Budownictwa Lądowego



Rys. 11

P.S. Pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko, dopóki jesteś z nim w drodze,..." (Mt 5,25).

KRÓTKA PODRÓŻ DO ŚWIATA SYMBOLI

Lubię podróżować i podróżowałem dawniej dość dużo; do różnych miejsc w kraju i za granicą. Dzisiaj także chcę odbyć podróż, tym razem niegeograficzną; podróż do świata symboli, z którym obcujemy wprawdzie na co dzień, lecz zwykle go nie zauważamy. Jest to świat w pewnym stopniu "przezroczysty", albowiem wiele jego składników nie pochłania naszej uwagi, lecz wskazuje poza siebie, na swe głębsze znaczenia. Ale ma on dla nas szczególną ważność. Jest naszym ludzkim światem, bez którego nie byłoby znanego nam otoczenia; zarówno tego, z którym oswajamy się w życiu codziennym, jak i tego, które poznajemy w badaniach naukowych. I aczkolwiek istniałoby zapewne jakieś "otoczenie samo w sobie" (nie wszyscy filozofowie tak twierdzą), to jednak byłoby ono dla nas w znacznej części nieuchwytnie, znane w całości tylko Bogu i duchom czystym.

Na ważność symboli zwrócili już uwagę symboliści, którzy na przełomie XIX i XX wieku odnosili je przede wszystkim do wartości duchowych oraz do metafizyki, która przekracza wiedzę empiryczną. W opozycji do pozytywizmu i materializmu, mówili oni o symbolach w religii, w sztuce i w filozofii, a nawet w nauce nowożytnej, której teorii uchodzą zwykle za wierne odbicie rzeczywistości samej w sobie. Myślę, że jest to trwałe osiągnięcie symbolistów, nawiązujące w dużym stopniu do filozofii Kanta, lecz zapewne mniej idealistyczne i dające się pogodzić z realizmem.

Weźmy chociażby pod uwagę przestrzeń i czas. Są to parametry wszelkich zmian w otoczeniu, uobecniające się w każdej podróży, a nawet w życiu "unieruchomionym", właściwym ludziom starym lub chorym. Zwierzę posiada tylko takie otoczenie, które odpowiada kierunkom jego popędowych poruszeń. Pies, z którym wychodziłem ongiś na spacer, świetnie znał park, po którym biegał, ale nie zdawał sobie sprawy z przestrzeni i czasu, w których ów park istnieje. Ważne były dlań najprawdopodobniej różnorakie wrażenia zmysłowe i proste przedstawienia, jakie podczas biegów przeżywał. Tymczasem dla mnie sprawa wyglądała inaczej. Na moje ruchy i wrażenia zmysłowe nakładała się wiedza o tym, gdzie ów park się znajduje, jaka jest jego wielkość i w jakim czasie w nim przebywam. Nie byłoby zaś owej wiedzy wtedy, gdybym w swoim myśleniu nie posługiwał się symbolami przestrzeni i czasu.

Gdy leciałem ongiś z żoną do Nowego Jorku, mieliśmy przed oczyma ekran zawieszony nad fotelami, po którym przesuwał się świetlny znak samolotu, określający nasze położenie nad Atlantykiem. Równocześnie zegar, wkomponowany w ekran, odmierzał długość lotu i pozwalał orientować się w jego trwaniu. To, co działo się wewnątrz samolotu, zmieniało się w innym rytmie, a nawet - uj-



Chrześcijańskie symbole w katakumbach Pryscylli w Rzymie



Kronos (Saturn) polyka własne dzieci - obraz P.P. Rubensa



Symbol czasu i jego "wymiarów" - rycina H. Holbeina ml.

mując rzecz globalnie - wydawało się niezmiennie. O szybkim ruchu w przestrzeni i czasie nie dowiadujemy się więc patrząc na otoczenie, lecz za pośrednictwem symboli. Były nimi nasze przedstawienia wewnętrzne, które odnosiły się bezpośrednio do zmian na ekranie, pośrednio zaś dotyczyły przebiegu podróży.

Ważność symbolu w życiu ludzkim jest - jak widać - bardzo duża, co nie znaczy jednak, iż posiadamy jego jednobrzmiącą definicję. Ba, słowo "symbol" jest tak wieloznaczne, iż rozważania na ten temat układają się w odrębne traktaty, obecne w wielu bibliotekach. Zwykle jednak podkreślana bywa przez filozofów okoliczność, że chociaż symbol jest zawsze znakiem czegoś dla kogoś, to jednak nie każdy znak jest symbolem. Ten ostatni bowiem ma strukturę "dwuwarstwową". W pierwszej "warstwie" odnosi się on do przedmiotów oznaczonych przez znak bezpośrednio, w drugiej do czegoś innego, z czym na mocy tradycji, analogii lub umowy przedmioty te są kojarzone.

Jako przykład niechaj nam posłużą stare symbole chrześcijańskie. Symbol ryby oznacza tu w pierwszej warstwie zwykłą rybę, w drugiej natomiast Chrystusa - Zbawiciela. Symbol krzyża dotyczy w pierwszej warstwie okrutnego narzędzia kaźni, w drugiej jest symbolem odkupienia ludzi przez Chrystusa. Symbol kotwicy odnosi się w pierwszej warstwie do znanej marynarzom i rybakom konstrukcji technicznej, w drugiej zaś do nadziei, która jest "silną kotwicą duszy" (Hebr 6,19).

Można jednak zdefiniować symbol inaczej, niekoniecznie podkreślając jego strukturę warstwową. Na czoło definicji wysuwana bywa niekiedy okoliczność, że słowo "symbol" ma rodowód antyczny i odznacza się od tej strony swoistą pragmatyką. Grecka nazwa "symbolon" odpowiada mianowicie słowom "znak", "oznaka" lub "objaw". Natomiast czasownik "symboleo" ("sympalleo") informuje, iż coś zbieramy razem; że coś gromadzimy w jednym miejscu. Symbol jest w tym ujęciu znakiem o podwójnej pragmatyce. Posługujemy się nim zarówno wtedy, gdy istnieją obok siebie lub pojawiają się sukcesywnie różne przedstawienia tego samego przedmiotu, jak i wtedy, gdy jedno przedstawienie bywa odnoszone do szeregu przedmiotów (uważanych bądź za rzeczywiste, bądź za fikcyjne), przynależnych do różnych zbiorów.

Jako ilustrację pierwszego przypadku można tu przywołać symbol czasu. Według jednego z filozofów greckich, Heraklita z Efezu (VI - V w. prz. n. Chr.), jego symbolem była rzeka, która ciągle płynie i nie da się do niej nigdy wejść dwa razy; jej wody ustawicznie się zmieniają. Natomiast w mitologii greckiej czas był symbolizowany wizerunkiem Kronosa polykającego własne dzieci. Wizerunek ów można spotkać w greckim malarstwie wazowym, a także pośród dzieł znacznie

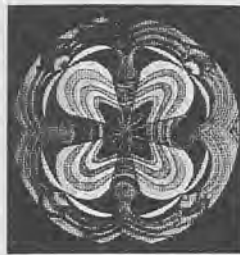
bardziej użyteczny, iż umożliwi w swojej złożoności także inne wyliczenia; dotyczące np. drogi hamowania i zadanych prędkości. Modele ikoniczne nie pozwalają same przez się na podobne operacje i dlatego są w znacznym stopniu "martwe", dla nauki mało użyteczne.

"Przyroda jest matematyczna", mawiają dziś przyrodnicy i pytają przy tym o to, dlaczego tak się dzieje; co stanowi o takim charakterze przyrody? Odpowiedź nie jest wcale oczywista, zważywszy na fakt, iż przez kilkadziesiąt stuleci dominowały w ludzkiej myśli symbole ikoniczne, a symbolizm matematyczny torował sobie *en bloc* drogę stopniowo, w dużej mierze pod wpływem tradycji pitagorejskiej i platońskiej.

Myślę - z czym jednakże można się nie zgodzić - że rzeczywistość sama w sobie jest poznawczo niewyczerpalna i umożliwia różne artykulacje, dane nam w poznaniu potocznym i w wiedzy naukowej. Jedną z owych artykulacji, uważaną za najbardziej przydatną dla cywilizacji współczesnej, wyraża się w symbolach matematycznych lub - mówiąc bardziej ogólnie - w języku zdeterminowanym przez te symbole. Jest to dziś zresztą język niesłychanie złożony, składają się nań bowiem różne systemy symboli, co zdaje się przemawiać za hipotezą, iż niewyczerpalność rzeczywistości odzwierciedla się także na poziomie nauk ścisłych - w wiedzy zmatematyzowanej.

Toteż jeśli nawet jest tak, jak sądzi wielu filozofów nowożytnych i współczesnych, że człowiek nie zajmuje się nigdy rzeczami samymi w sobie, lecz ustawicznie rozmawia sam ze sobą, to zgadzam się z tą opinią tylko wtedy, gdy rozumiemy ją następująco.

Żyjemy w świecie symboli, który jest wytworem człowieka i nigdy być nim nie przestanie. Równocześnie jednak poznajemy rzeczywistość prawdziwie, tworzymy bowiem wiedzę, która się z nią zgadza globalnie. Znaczy to, iż pełna prawda stanowi mnogość prawd cząstkowych, odsłaniających rzeczywistość w rozmaitych systemach symboli; nie tylko naukowych, lecz tak-



Mandala z kolekcji
C.G. Junga

że artystycznych i religijnych, a - gdy w grę wchodzi egzystencjalne sprawy ludzi - zapewne przede wszystkim w tych ostatnich.

Różnorodność symboli jest w naszym życiu ogromna i można je klasyfikować na różne sposoby. Obok tych, które wymieniłem i które tworzymy na ogół świadomie, na zasadzie analogii lub swobodnej umowy, istnieją też symbole innego rodzaju. Ich źródłem jest nasza nieświadomość (podświadomość), w której od urodzenia zawarte są rozmaite formy adaptacyjne, służące nam

w trudnych sytuacjach, zarówno codziennych, jak i naukowych. Znakomity psychoanalityk i psycholog szwajcarski, C. G. Jung (zmarł w 1961 r.), określił je mianem symboli archetypowych.

Na ich liście umieścił on z jednej strony symbole ikoniczne, takie jak symbol węża, ryby, drzewa itp., z drugiej zaś szereg znaków abstrakcyjnych - liczb i kształtów geometrycznych. Z "magicznym kołem" (mandalą) na czele. Piszę o tym szerzej w niedawno wydanej książce pt. "Przyrodznawstwo - dzieło ludzi i część kultury" (Gdańsk 1998).

W swojej teorii "archetypów" Jung zbliżał się niekiedy do św. Augustyna i do takich humanistów Renesansu, jak zafascynowany Petrarą - Cristoforo Landino. Nauczali oni, iż - aby poznać prawdę - należy patrzeć nie tyle wokół siebie, co we wnętrzu własnej duszy, tu bowiem mieszczą się idee zaszczerpane przez Boga i będące przyrodzonym światłem rozumu.

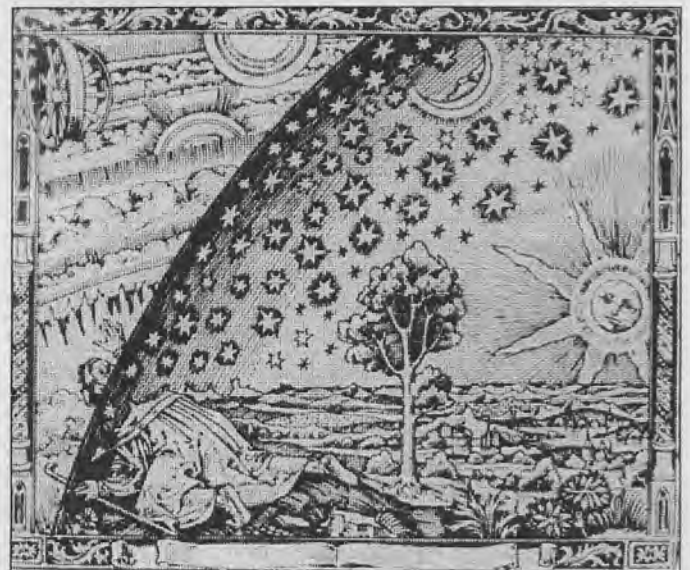
Epoka, w której żyjemy, zdominowana została przez metodologię empiryzmu, nauki przyrodnicze i techniczne. Skłonna jest więc uznać ów pogląd za anachronizm; pozwoliła mu pójść w niepamięć. A jednak warto go przypominać; tym bardziej, że mamy dziś podstawy, by twierdzić, iż żadna wiedza nie jest tylko receptywna, lecz nosi na sobie znamię ludzkiej "wewnętrzności". Podróż do świata symboli odsłania owo znamię. Ale umożliwia też jego zobaczenie w takiej skali, iż nie popadamy w bezpłodny subiektywizm, stawiający nas na piedestale twórców przyrody. Za symbol granic tej podróży można uważać sztych postaci wędrowca, który dotarł do krańców Ziemi i - wychyliwszy głowę poza sferę znanych mu zjawisk - ujrzał coś więcej.

Adam Synowiecki

Wydział Zarządzania i Ekonomii



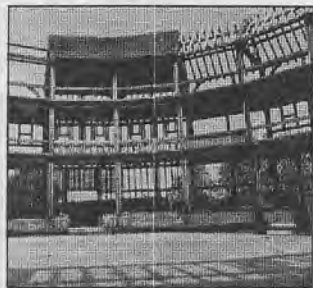
Cristoforo Landino z uczniami
- drzeworyt z 1492 r.



Wędrowiec, który podpatruje tajemnice Wszechświata
- drzeworyt z ok. 1530 r.

DOM CZASU

Londyn zmienia się w oczach. Panoramę City, oglądaną w styczniu '99, przecinają wieże i wysięgniki wielkich żurawi. Wszędzie coś stawiają, odnawiają, czyszczą, pucują... Patrząc spod Katedry św. Pawła ku Tamizie, wzrok biegnie przez niewielki plac budowy, na którym wznoszą, a raczej ukrywają w głębokim wykopie konstrukcję przyczółka najnowszego mostu - *Millennium Bridge*. Turyści podziwiają dzieło Wrena - anglikańską konkurencję dla rzymskiej Bazyliki św. Piotra - będą mogli przejść po nim bezpośrednio z XVII wieku do centrum sztuki współczesnej *Tate Gallery of Modern Art*, które właśnie powstaje w murach nieczynnej od 1981 elektrowni, jako jeden z tzw. Projektów Tysiąclecia. Elektrownię projektował w latach czterdziestych Sir Giles Gilbert Scott, *nota bene* autor popularnej czerwonej budki telefonicznej, która zawitała nawet do Gdyni i cieszy oko magistrackich urzędników. Już dzisiaj można spacerować dopiero co pięknie urządzonymi nabrzeżami Tamizy od dalekiego Chelsea, aż do zamku Tower, mijając między innymi bielejącą rotundę elżbietańskiego teatru *The Globe*. Jego pierwowzór spłonął w 1613 roku, a dla uwiarygodnienia rekonstrukcji użyto tradycyjnego budulca: drewna, gliny, wapna, koziej sierści i trzciny, ale po prawdzie i miejsce i wizerunek budowli są jedynie prawdopodobne. Nie przeszkadza to kompletom widzów, od lipca 1997 przeżywającym szekspirowskie opowieści - jak przed stuleciami - na stojąco. I u nas mówiono coś o rekonstrukcji Teatru Elżbietańskiego w Gdańsku, ale to chyba temat na przyszłe tysiąclecie...



Brytyjczycy, a londyńczycy w szczególności, śledzą przygotowania do nocy z 31 grudnia 1999 na 1 stycznia 2000. Drukuje się szczegółowe plany miasta w okolicy przejścia południka "zero" - na tych posesjach noworoczne *party* będzie w cenie! Ale chyba już najbardziej nadchodzących fet wygląda ludność Greenwich, gdyż to właśnie na terenie tej gminy powstaje budowla zwana *Millennium Dome* - inżynierskie чудо w formie gigacyrku zawieszzonego na dwunastu stumetrowych słupach i siedemdziesięciu kilometrach kabli. Media podgrzewają publiczną dyskusję, a spece od marketingu wymyślają sposoby spożytkowania wizerunku Kopyły Tysiąclecia. Póki co, nie można do niej nawet podejść, a tylko stateczki spacerowe oferują podpinięcie i pamiątkowe zdjęcie podczas zatrzymania. Ciekawość wzrasta. Tłumy turystów, obejrzawszy klejnoty



Strona tytułowa THE TIMES, piątek, 8 stycznia 1999
"The future of learning"

korony w Tower, wsiadają w superkolejkę bez motorniczego, sterowaną przez komputer, i ruszają w krótką podróż do *Docklands* - placu budowy przyszłego centrum londyńskich atrakcji, wyrastającego w oszałamiającym tempie na poportowych terenach; tu z peronu *West India Quay* można podziwiać na odległość ów symbol przełomu tysiącleci, wyłaniający się z otoczenia jak skorupka wielkiego archetypicznego jaja. Co się pod nią lęgnie? Wnętrze tej monsturalnej czaszy o średnicy 320 m i wysokości 50 m, równej Kolumnie Nelsona na *Trafalgar Square*, może pomieścić dwa stadiony *Wembley* albo 13 rotund wielkości *Albert Hall*. Spacerujący wewnątrz po okręgu długości jednego kilometra prawdopodobnie będą podziwiać najprzedniejsze produkty naszej cywilizacji - ofertę XX-wiecznej ludzkości dla pokoleń przyszłego wieku. Ale jakie - publiczność dowie się w noc sylwestrową. Już w grudniu 1997 powołano jedenaście zespołów pracujących w dyskrecji nad ekspozycją trzech bloków tematycznych: *Nasze Społeczeństwo* (Kim jesteśmy?) - *Ciało, Umysł, Duch*; *Nasza Kultura* (Co robimy?) - *Praca, Wypoczynek, Zabawa*; *Nasze Miejsce* (Gdzie żyjemy?) - *Środowisko Lokalne, Krajowe, Globalne*. Część centralna Kopyły, to strefa multimedialnej sztuki teatralnej. Jej aranżację powierzono słynnemu inscenizatorowi z *West-Endu*, chyba więc słaba nadzieja na to, że pod *Dome* zawita eksperymentujący teatr *off-u*, oferujący inne wrażenia niż wiecznie żywe musicale. Znamienne jest, że wciąż nowe pokolenia dorastają do niepokornego wieku, gdy należy kontestować establishment, jednocześnie tworząc cenioną przez biznes strefę rynku młodzieżowego - produkcji i konsumpcji "awangardowych" środków spożywczych, odzieży i kosmetyków, muzyki i miejsc specjalnych zachowań, także scenicznych. Któż w tym niewątpliwie światowym tyglu interkultury pamięta, że to Polacy po drugiej wojnie pokazywali tu nowoczesność, niechby wspomnieć ludzi sceny - Grotowski, Kantor, Szajna, Tomaszewski; albo w balecie - Maria Rambert, której nazwisko nadal nosi słynny zespół; albo Lutosławski, którego często gościły londyńskie sale koncertowe....Gdy przedstawiając się w akademickim gronie wspomniałem, że mieszkam w Polsce, w Gdyni, nad morzem, zapytano mnie - nad jakim? To pewnie taki postimperialny angielski żart...

W Londynie młodzi ludzie w różnym wieku - bo najmłodsza dziś jest tu młodość - noszą się na czarno, i to nie tylko do teatru. Na ulicy, w pubach, w uniwersyteckiej kafeterii - wszędzie stypa. Owa żalobna maniera na co dzień, przed kilku laty wymyślona w Kalifornii, dotarła już do nas. Może to pogrzeb drugiego tysiąclecia? Dobry temat dla badaczy; niech

dziela włos na czworo, co zapewne nie grozi owej zgrabnej osobce krygujacej sie w telewizyjnej reklamie emitowanej na brytyjskich i polskich ekranach jednocześnie. Na podkladzie dzwiekowym kina akcji, pomiedzy oswiadczeniem "wypowiadam wojne", a okrzykiem "wygrałam!" (woryginale angielskim - "I declare a war!" i "Victory!"), atrakcyjna sufrazystka nieco masochistycznie szarpie zwyciesko wzmocone miedzianolśniace włosy. Znamienny jest sztafaż tego fryzjerskiego spotu - jak mawia czwarta wladza naszych czasow, czyli ludzie medialni - z tlumkiem umundurowanych niewiast w tle. Angielska plec piekna, tradycyjnie o cos walczaca, ostatnio zawitala do straży požarnej, odbierajac mężczyznom wyłacznosc tej ostatniej juz chyba ostoi samczej odwagi i plomiennego ryzyka.

Przygotowania do Tysiaclecia zaczely sie przed laty, kiedy to powolano w 1993 roku *Millennium Commission* - niezalezne ciało do zarzadzania 28 pensami z kazdego funta brytyjskiego (GBP) wydanego na zakłady Państwowej Loterii, utworzonej po raz pierwszy w brytyjskiej historii. W lutym 1996 roku wybrano spozród 57 proponowanych lokalizacji wlasnie Greenwich na *Millennium Exhibition*, czyli Wystawę Tysiaclecia, kontynuujaca brytyjskie tradycje Wielkiej Wystawy w 1851, gdzie pokazano swiatu potege Imperium, a w tym cud owczesnego budownictwa z zeliwa, zelaza i szkła - Cristal Palace, oraz w 1951 roku - gdy znekanemu wojna narodowi przywracano wiarę w tworcza moc czlowieka poprzez kulture i sztuke. Rząd labourzystow przemianowal Wystawę Tysiaclecia na *Millennium Experience*. Miejsce owego Wydarzenia Tysiaclecia bylo jeszcze do niedawna najwiekszym nieuzytecznym terenem poprzemyslowym nad Tamizą. W latach 1991-93 okolo dziesiec tysiecy mieszkancow tej okolicy stracilo prace, stanowiac dzisiaz 30 % ogolnego stanu bezrobocia w Londynie. Przewiduje sie, ze w wyniku strategicznego planu rehabilitacji powstanie tu 5 tysiecy nowych domow i 5-7 tysiecy nowych miejsc pracy, a juz podczas budowy *Dome* znalazlo zatrudnienie 2,5 tysiecy osob.

W gestii *Millennium Commission*, oprócz przedsiwzięcia *Millennium Experience* obejmujacego Kopule, pozostaje rozdzielnie 2 miliardy GBP z zyskow Loterii Państwowej na Projekty, Nagrody Indywidualne i na Festiwal Tysiaclecia. W kazdym z tych strumieni pieniadza obowiazuje zasada konkursu wnioskow. Projekty sa finansowane do polowy wartosci kosztorysu i rozpatrywane w pieciu kategoriach: utrzymanie rownowagi srodowiskowej, promocja nauki i techniki, rewitalizacja miast, nowe i specjalne formy edukacji, oraz wsparcie spolecznosci lokalnych. Wymagane jest, aby skutek realizacji Projektu - inwestowanie w gminy - byl trwaly i sluzyl przyszlym pokoleniom. W calym kraju w ponad trzech tysiacach miejsc realizuje sie 185 przedsiwziec o laczonej wartosci 1,2 miliarda GBP przyznanych grantow. Kazdy mieszkaniec Wysp Brytyjskich wie, ze dwa razy w tygodniu Fortuna uczyni swoich wybrańcow milionerami, bo to im wlasnie udalo sie wybrac wlasciwe numerki w loterii tysiaclecia, czyli *The National Lottery*. Wie on takze, ze zysk z tego hazardu tworzy jakis fundusz, sponsorujacy tzw. Projekty. No, ale jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, nie wszyscy zostaja obdarowani, a dokladnie - jedynie co dziesiaty wniosek. Marudzi wiec ten i ow obywatel flegmatycznie, ze "oni" dzielą te pieniadze nie tak, a juz w ogole to skandal z tą "*Dome*", która nie wiadomo po co i dla kogo. Slyszy sie tu i owdzie, ze milenijne fundusze omijaja zaslužone instytucje, a plyną ku obrzeżom spoleczeństwa i marginesowi kultury; na przyklad do klubow alternatywnych mniejszosci, na publikacje tekstow nie do czytania albo dzieł plastycznych nie do ogladania itd., itp. Mimo to sceptyczny



Computer image of the Millennium Experience dome on London's Greenwich peninsula

Brytyjczyk ma nadzieje i za jednego GBP wybiera 6 numerkow z 49, przyczyniac sie w efekcie do cotygodniowego zasilania milionami dwunastu loteryjnych funduszy, a w tym *Heritage Lottery Fund* - sluzacego konserwacji zasobow narodowego dziedzictwa w potrzebie. Do roku 2004 przewiduje sie przeznaczyc 200 milionow GBP na Nagrody Indywidualne, ktore trafią do 40 tysiecy obywateli. Jest to inwestowanie w poszczegolnych ludzi, co szczegolnie podkreślaja ludzie od *public relations* na rzecz tego megahazardu Tysiaclecia, wymyslonego, jak widać, w dobrej wierze. Najlatwiejszy do uzyskania wydaje sie grant w ramach *Millennium Festival*, czyli na swietowanie, wynoszący od 500 do 5000 GBP. Są to mile kazdemu pieniadze, przyznawane co dwa miesiace grupom inicjatywnym *ad hoc* lub spolecznosciom lokalnym, wyrozniajacym sie pomyslem na sposob celebrowania *Millennium* w 2000 roku.

Premier Tony Blair podczas wizyty placu budowy "*Dome*" nazwal Brytanie "domem czasu", samo zamierzenie inwestycyjne - "najwspanialsza wystawa jaka widzial swiat" i "najbardziej ekscytujacym wydarzeniem na swiecie w roku 2000", a wszystko to pod haslem "Pora zrobic cos innego". Wydaje sie, ze mimo narzekan, Angliacy zaakceptowali swoja "*Dome*", dwa razy wieksza od najwiekszej w swiecie podobnej konstrukcji w USA. Prowincjusze beda mieli pretekst do odwiedzenia stolicy, a londynczyacy - do wyjazdu za miasto; bywalcy pubow beda mogli integrowac sie w nowej scenerii, gdyz przepustowosc budowanej w poblizu stacji metra - najwiekszej w Europie - wyniesie 22 tysiecy podroznych na godzinę. No i koszt! Astronomiczna suma 758 milionow GBP robi wrazenie. Jedyne kilka procent tej kwoty pochodzi z funduszy loteryjnych, a reszta - od sponsorow i biznesu. Wyglada na to, ze Londyn, Brytania i swiat, modnie ustrojone na czarno przybeda do stop Obserwatorium w Greenwich na spotkanie Trzeciego Tysiaclecia. Wybrańcy wejdą w rok 2000 pod osloną Kopuly. No cóz, szkoda, ze nas tam nie bedzie...

PS. Dane wykorzystane w powyższym tekście udostępnila uprzejmie p. Lucinda Turner z *Millennium Commission*.

Waldemar Affelt
Wydział Budownictwa Lądowego



Krąg Starszoharcerski "ZODIAK" przy Politechnice Gdańskiej

09.01.1957 - 09.01.1963



Ściana "frontowa" harcówki, Bratniak, p. 27, II p.

Październik roku 1956 przyniósł falę reaktywacji różnych organizacji społecznych. Na tej fali znaczące miejsce zajął Związek Harcerstwa Polskiego. Silne jeszcze wspomnienia lat przedwojennych, bohaterstwo Szarych Szeregów z okresu okupacji, oddolne i samorzutne odradzanie się harcerstwa w latach 1946-1948 - były pożywką dla olbrzymiego ruchu harcerskiego po październiku 1956. Ruch ten nie ominął Politechniki Gdańskiej. Jesienią 1956 roku odbyło się parę spontanicznych "kominków" harcerskich w "błękitnej sali" Bratniaka. Dnia 09.01.1957 r. ukazało się na tablicy w holu Gmachu Głównego PG wezwanie do zgłaszania swego akcesu do Kręgu Starszoharcerskiego. Wezwanie skierowane było do wszystkich harcerzy - studentów i pracowników PG. Sygnowane było przez Radę Kręgu powstałą pod patronatem Komitetu Obywatelskiego przy Politechnice Gdańskiej. Działania organizacyjne doprowadziły po pewnym czasie do zarejestrowania *Drużyny Instruktorskiej* pod nazwą *Krąg Starszoharcerski "ZODIAK" przy Politechnice Gdańskiej*.

Drużyna podlegała po linii harcerskiej bezpośrednio Komendzie Gdańskiej Chorągwi Harcerstwa. Na Uczelni - tak jak wszystkie organizacje młodzieżowe - Krąg podlegał prorektorowi ds. studenckich. Z ramienia Senatu opiekunem był prof. Stanisław Szymborski. W stadium organizacji aktywną rolę odegrali tak studenci, jak i pracownicy PG. Warto zaakcentować takie nazwiska, jak: prof. Jerzy Jaczewski (nie był członkiem Kręgu, ale pewnym wzorem osobowości harcerskiej, z której się korzystało), Henryk Prac (asystent Wydziału Architektury), Jerzy Bryłowski (prac. adm. PG), Tadeusz Wójcik, Biruta Kalicka, Krystyna Łukaszewska, Edmund Matyjaśkiewicz, Jerzy Kolka (asystent Wydziału Elektrycznego), Zbigniew Hołuj (prac. techn. PG), Stanisław Stryzyk.

Jako drużyna harcerska Krąg składał się z czterech zastępów specjalnościowych: łączności, żeglarskiego, metodycznego i turystycznego. Uważano, że Krąg mógłby być bazą kadrową dla harcerskich drużyn specjalnościowych. W kwietniu 1957 roku nastąpiła pewna reorganizacja - odszedł drużynowy Kręgu Tadeusz Wójcik (obejmując stanowisko komendanta hufca Gdańsk - Śródmieście), opadły pierwsze emocje, osłabło zaangażowanie jednych - wzrosło innych, pojawili się nowi członkowie. Nowym drużynowym został Wiesław Jasiński (asystent Wydziału Mechanicznego). Heniek Prac opracował znaczek Kręgu. Utrwaliła się nazwa Kręgu - "ZODIAK". Były wiadomości, że w latach 1946-48 istniał na PG Krąg Harcerski "WODNIK" o profilu żeglarskim, nazwa "ZODIAK" miała sugerować szerszą gamę zainteresowań. Projektu Henryka Pracza była szata graficzna kroniki Kręgu, jak i wystrój harcówki. Krąg otrzymał od Rektora PG lokal w Bratniaku - rupieciarnię na II piętrze.

Stan liczbowy Kręgu wynosił około 75 osób i zmieniał się co roku - odchodzili dyplomanci, przychodzili studenci pierwszych roczników. Za przewodnią myśl programową uznano realizację tego, co niesie życie młodzieżowe - to, co normalnie chce się przeżywać w gromadzie rówieśniczej, tyle że przeżywać odpowiedzialnie, ucząc się odpowiedzialności za siebie i za innych. Po dwóch latach ukształtował się pewien sposób i cykl pracy. Jedna trzecia członków zaangażowana była na rzecz życia wewnętrznego Kręgu - tj. realizacji programu na swoje potrzeby, jedna trzecia to był nowy narybek, który należało "uharceryż", pozostali podejmowali służbę harcerską na rzecz drużyn (drużynowi, przyboczni) w hufcach lub w Komendzie Chorągwi. Ośrodek Motorowy Gdańskiej Chorągwi Harcerzy był prowadzony przez przybocznego Kręgu Andrzeja Cegielskiego - asystenta IMP PAN. Bardzo szybko przestały istnieć zastępy specjalnościowe - tworzyły się samorzutnie grupy 8-10-cio osobowe, najczęściej z jednego Wydziału. Ważną funkcję w życiu Kręgu pełnili: sekretarz i skarbnik - Ewa Netzel oraz kwatermistrzowie: - Jerzy Bryłowski (prac. PG), Antoni Rudnicki i Jerzy Grzymowicz.

Swoją osobowość wyraźnie zaznaczyli tzw. przyboczni, Maciej Namysł i Witold Czuraj, nie mówiąc już o zastępowych i innych postaciach bardzo aktywnych i czynnie zaangażowanych w realizację hasła, które znajdowało się na sztandarze: "Braterstwo i służba".



Wyjazd na obóz letni (spyłw Suwalki-Ostrołęka, 350 km).
Ładowanie sprzętu przed Bratniakiem, r. 1959



Fot. t. Chmielowice



Sztandar Kregu. Orzeł został "ukoronowany" decyzją Złotu Jubileuszowego 30-lecia w r. 1987

Znaczącym wydarzeniem było wybudowanie własnoręcznie 15 kajaków wg. projektu Józefa Czerwińskiego (studenta Wydziału Budowy Okrętów) przy pomocy warsztatu stolarskiego PG.

Obozy letnie od 1958 roku, to kajakowe spływy - wyprawy:
 1958 - Czarna Woda (j. Gołoń - Gdańsk),
 1959 - Czarna Hańcza (j. Krzywe - Ostrołęka),
 1960 - Łupawa (j. Jasień - Leba),
 1961 - Pasłęka (Łukta - j. Pierzchalskie),
 1962 - Drawa (Czaplinek - Krzyż).

Również znaczącym faktem było zmontowanie z części otrzymanych od wojska, pod kierunkiem Jacka Gajka (studenta Wydziału Mechanicznego), samochodu terenowego GAZ-67, który służył do nauki jazdy w ramach własnych kursów na prawo jazdy, oraz do obsługi biwaków, wycieczek itp.

Krąg został rozwiązany przez władze Komendy Chorągwi Harcerstwa na polecenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR w roku 1962.

Krąg obchodził 09.01.1962 - pięciolecie swego istnienia; zorganizowano wystawę prezentującą działalność Kręgu w postaci wystawy fotograficznej w holu przed aulą. Najstarszy odchodzący zastęp zorganizował wykonanie sztandaru (projektu H. Pracza). Te poczynania, które ujawniały i promowały pracę Kręgu, nie były "po linii" polityki młodzieżowej PZPR. Na uczelniach miał być jeden związek młodzieżowy - Związek Młodzieży Socjalistycznej. Jednocześnie z Kręgiem "ZODIAK" rozwiązano Krąg Starszoharcerski "WESTERPLATE" przy Akademii Medycznej. Wykonany sztandar nie mógł być wobec faktu rozwiązania zalegalizowany. Sztandar konspiracyjnie poświęcił ks. Mokrzycki - ówczesny duszpasterz akademicki.

Krąg "ZODIAK" odwołał się od decyzji o rozwiązaniu do Głównej Kwatery Harcerstwa. Po roku milczenia władz, po monitach, otrzymano zmianę decyzji o rozwiązaniu na decyzję o przeniesieniu Kręgu z Politechniki na teren Komendy Chorągwi. Tej decyzji Krąg nie przyjął i rozwiązał się decyzją Walnej Zbiórki z dniem 09.01.1963, przekazując zgodnie z decyzją JM Rektora harcówkę i wyposażenie studenckiemu Towarzystwu Rozwoju Ziem Zachodnich.

Przez sześć lat przewinęło się przez Krąg ponad 200 osób. Do dziś mają miejsce coroczne spotkania byłych członków Kręgu:

- 9 stycznia - przy ognisku i w "zaprzyjaźnionym domu" - bierze udział 30 - 40 osób,

- 24 czerwca - spotkanie na biwaku nad Radunią (w miejscu biwaków kończących niegdyś rok akademicki) - bierze udział 50 - 60 osób,

- lipiec /sierpień - wyprawa kajakowa (służy jeszcze parę starych kajaków) - uczestniczy 15 - 30 osób.

W roku 1997 grupa 20 osób wzięła udział w spływie Wisłą na Tysiąclecie Gdańska pod szyldem bks "ZODIAK" - przy Politechnice Gdańskiej (bks - oznaczało były Krąg Starszoharcerski).

Co pięć lat, około 9 stycznia, odbywa się dwudniowe spotkanie jubileuszowe. W programie jest kominek z dyskusją o postawach życiowych i obecnych zaangażowaniach, bal karnawałowy, wycieczka w plener. Zapraszani są byli członkowie Kręgu ze współmałżonkami. Ostatnie spotkanie z okazji 40-lecia (9.01.1997) odbyło się w Ośrodku Szkoleniowo - Wypoczynkowym w Straszynie. Uczestniczyło w nim ponad 70 osób.

Trudno powiedzieć, co spowodowało, że przyjaźnie powstałe w harcerskiej atmosferze lat studenckich są do dziś kultywowane i że spotykający się mają sobie coś ciekawego do powiedzenia. Mamy podobne przykłady z innych organizacji studenckich - harcerstwo może wprowadza dodatkowo pewne wysublimowane wartości, które sprzyjają utrwalaniu związków między ludźmi.

Wiesław Jasiński
 Wydział Mechaniczny



Zodiakowski "gazik" podczas studenckiego rajdu "Pierwiosni", r. 1961



Józef Wojciech KUR urodził się 23 kwietnia 1955 roku w Wejherowie, gdzie uczęszczał do Szkoły Podstawowej Nr 6 i Liceum Ogólnokształcącego Nr I im. Jana III Sobieskiego. W szkole średniej został laureatem ogólnopolskiej olimpiady biologicznej, co umożliwiło mu podjęcie studiów bez egzaminów wstępnych na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi Uniwersytetu Gdańskiego.

W 1979 r. uzyskał z wyróżnieniem tytuł mgr. biologii z zakresu biochemii. Pracę naukową rozpoczął jeszcze przed ukończeniem studiów w Katedrze Biochemii, kierowanej przez prof. dr. hab. Karola Taylora. W ramach pracy magisterskiej, pod kierunkiem doc. dr. hab. Romualda Skórko zajął się badaniem obecności ADP-rybozylotransferaz w komórkach *Escherichia coli*. Uzyskane wyniki pracy magisterskiej zostały opublikowane w *European Journal of Biochemistry*. Bezpośrednio po ukończeniu studiów podjął pracę jako asystent stażysta w Zakładzie Mikrobiologii kierowanym przez prof. dr. hab. Annę Podhajską. W tym okresie nawiązał współpracę z Katedrą Biologii Molekularnej, kierowaną przez prof. dr. hab. Karola Taylora. Zainteresował się problemem replikacji DNA wirusów bakteryjnych i plazmidów, który stał się tematem pracy doktorskiej wykonywanej pod kierunkiem prof. Karola Taylora. Stopień naukowy doktora nauk przyrodniczych w zakresie biologii nadała mu w 1987 r. Rada Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii Uniwersytetu Gdańskiego na podstawie obronionej rozprawy doktorskiej pt.: "Wpływ mutacji *dnaA* *Escherichia coli* na replikację plazmidów pochodzących od bakteriofaga λ ". Praca ta została wyróżniona Nagrodą Ministra. Wyniki tej pracy opublikowane w *J. Mol. Biol.* stworzyły podstawy hipotezy "niesprawiedliwego dziedziczenia" kompleksu replikacyjnego, rozwijanej później, przez szereg lat, w Katedrze Biologii Molekularnej UG. Hipoteza ta, śmiało postawiona w owym czasie, dziś znajduje coraz więcej zwolenników i opublikowanych dowodów eksperymentalnych świadczących o jej prawdziwości (duża liczba cytowań w literaturze światowej).

Tuż po obronie pracy doktorskiej wyjechał na 2-letni staż naukowy do laboratorium prof. Wacława Szybalskiego (McArdle Laboratory for Cancer Research, University of Wisconsin, Madison, USA). W tym okresie został rozpoczęty cykl prac nad aktywnością białka IHF *E. coli*. Podjęte prace dotyczyły roli IHF w kontroli transkrypcji. Uzyskane wyniki stały się w głównej mierze treścią pracy habilitacyjnej. Prace z tych zagadnień zostały opublikowane w latach 1988-1990. Były one cytowane wielokrotnie w literaturze światowej (ponad 100 cytatów, w tym 68 odnosi się do najważniejszej z nich, opublikowanej w 1989 r. w *Gene*).

W 1991 roku ponownie wyjechał do laboratorium prof. W. Szybalskiego. Wraz z współpracownikami tego laboratorium zajął się zastosowaniem białka IHF, a później także białka RecA w metodzie rzadkiego i precyzyjnego cięcia DNA, zwanej "Cięciem w Pięcie Achillesa" (ang.: Achilles' Heel Cleavage). Opracowane systemy znalazły zastosowanie w mapowaniu i sekwencjonowaniu m.in. genomu ludzkiego. Te prace również były często cytowane w literaturze światowej.

Stopień naukowy doktora habilitowanego nadała mu w 1993 r. Rada Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii Uniwersytetu Gdańskiego na podstawie rozprawy habilitacyjnej pt. "Histonopodobne białko *Escherichia coli* IHF - właściwości i zastosowanie".

Na Uniwersytecie Gdańskim przepracował 12 lat (1979-1991), zaczynając jako asystent stażysta, kończąc jako adiunkt. W 1991 r. skorzystał z oferty Politechniki Gdańskiej, chcącej utworzyć nową jednostkę naukowo-dydaktyczną - Zakład Mikrobiologii na Wydziale Chemicznym. W początkowym okresie pracy zajął się głównie organizacją nowych laboratoriów naukowych i dydaktycznych. Kontynuował także badania naukowe związane z białkiem IHF. Od 1994 r. do chwili obecnej zajmuje stanowisko profesora nadzwyczajnego Politechniki Gdańskiej.

Opublikowany dorobek naukowy obejmuje do końca 1998 roku łącznie 194 pozycje. Zasadniczy trzon tego dorobku stanowią oryginalne publikacje w liczbie 52 i 8 artykułów monograficznych. Był autorem lub współautorem 134 komunikatów na konferencjach naukowych zagranicznych i polskich. Wśród opublikowanych artykułów znajdują się prace ogłoszone w takich renomowanych czasopismach, jak *Gene* (6 publikacji, Impact Factor 2.3), *FEMS Microbiology Letters* (5 publikacji, Impact Factor 1.6), *European Journal of Biochemistry* (Impact Factor 3.45), *FEBS Letters* (Impact Factor 3.6), *Journal of Molecular Biology* (Impact Factor 5.3), *Virology* (Impact Factor 3.9), *Molecular and General Genetics* (Impact Factor 2.9), *Nucleic Acids Research* (Impact Factor 4.2). Józef Kur cieszy się autorytetem zarówno w nauce krajowej, jak i międzynarodowej. Był wielokrotnie nagradzany za osiągnięcia naukowe Nagrodami Rektora UG oraz PG I stopnia. Został odznaczony w roku 1995 Srebrnym Krzyżem Zasługi. O uznaniu międzynarodowym świadczą m.in. zaproszenia do wygłaszania wykładów na międzynarodowych konferencjach naukowych. Ponadto był wielokrotnie powoływany na recenzenta prac przesyłanych do naukowych czasopism polskich i zagranicznych, a także projektów grantowych zgłaszanych do KBN. Prowadzi szeroką współpracę naukową z zagranicznymi instytucjami, takimi jak: McArdle Laboratory for Cancer Research, University of Wisconsin, Madison, USA; Department of Medical Microbiology, University Hospital Leiden, Holandia; Laboratory of Microbiology and Molecular Genetic (CNRS), Tuluza, Francja. Zrealizował cztery granty KBN, aktualnie prowadzi jeden grant i jest głównym wykonawcą w trzech innych.

Obecna działalność naukowo-badawcza obejmuje zagadnienia związane głównie z biologią i biotechnologią

molekularną, wykorzystującymi techniki rekombinacji i klonowania DNA. Tematyka badawcza obejmuje zagadnienia aplikacyjne, takie jak: otrzymywanie cennych farmakologicznych polipeptydów (białek) w systemach rekombinacyjnych mikroorganizmów, inżynierię białkową, diagnostykę molekularną DNA, konstrukcję DNA szczepionek, oraz zagadnienia podstawowe, takie jak: badanie replikacji i transkrypcji plazmidów bakteryjnych, badanie funkcji IHF *Escherichia coli* w transpozycji.

W swojej dotychczasowej pracy dydaktycznej prowadził (w dużej części według własnych programów) zajęcia dydaktyczne z Mikrobiologii ogólnej, Genetyki i inżynierii genetycznej, Zastosowań metod biologii molekularnej w badaniach żywności, Mikrobiologii technicznej, Techniki PCR. Był promotorem 26 zakończonych prac magisterskich zrealizowanych w ramach kierunku dyplomowania "Biotechnologia Leków" oraz "Technologia Utrwalania Żywności" na kierunku studiów "Biotechnologia" (Wydział Chemiczny PG) i na kierunku "Biologia" (Wydział Biologii, Geografii i Oceanologii Uniwersytetu Gdańskiego). Wygłosił wiele wykładów na temat nowoczesnej diagnostyki molekularnej w medycynie na zaproszenie kilku uczelni (Akademia Medyczna w Gdańsku, Pomorska Akademia Medyczna w Szczecinie, Akademia Medyczna w Bydgoszczy, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Akademia Rolniczo-Techniczna w Szczecinie, Akademia Rolniczo-Techniczna w Olsztynie). Jest autorem 2 skryptów uczelnianych: "Ćwiczenia z Mikrobiologii Ogólnej" i "Podstawy inżynierii genetycznej". Jest opiekunem licznej grupy studentów studiujących według indywidualnego toku studiów. Organizuje wysoko oceniane praktyczne kursy naukowe, w trakcie których uczestnicy z całej Polski mogą zapoznać się z metodami stosowanymi w nowoczesnej diagnostyce medycznej, biologii molekularnej i inżynierii genetycznej.

Jest kierownikiem bardzo prężnego zespołu naukowego Katedry Mikrobiologii PG, jednostki bardzo młodej, organizowanej przez niego od podstaw na Wydziale Chemicznym PG, począwszy od 1991. W chwili obecnej zespół obejmuje 5 pracowników naukowo-dydaktycznych, 3 pracowników inżynieryjno-technicznych oraz 5 słuchaczy Studium Doktoranckiego. Wypromował 4 doktorów, natomiast 5 kolejnych przewodów doktorskich jest otwartych. Józef Kur przejawia także dużą aktywność organizacyjną w swoim środowisku naukowym. Pracując na PG podejmuje wiele obowiązków oraz pełni szereg odpowiedzialnych funkcji. W ostatnich trzech latach brał aktywny udział w pracach ważnych komisji wydziałowych, w tym: Komisji ds. Studium Doktorskiego, Komisji ds. Egzaminów Dyplomowych, Komisji ds. Rozwoju, Komisji Programowej. Jest członkiem Komitetu Naukowego czasopisma "Klinika Chorób Zakaźnych i Zakażeń Szpitalnych". Aktywnie działa w towarzystwach naukowych. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Genetycznego (wieloletni sekretarz Oddziału Gdańskiego), Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów (członek Zarządu Oddziału Gdańskiego), Polskiego Towarzystwa Biochemicznego.

Józef W. Kur otrzymał tytuł naukowy profesora 22 lipca 1998 roku.



Bohdan ZADROGA urodził się 29 stycznia 1944 r. w Brześciu nad Bugiem. Studia wyższe (1961-66) ukończył na Wydziale Budownictwa Wodnego Politechniki Gdańskiej. Od 32 lat jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Katedrze Geotechniki Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej. Od 1985 r. jest zastępcą kierownika Katedry, a w latach 1987-90 pełnił funkcję prodziekana ds. kształce-

nia. Jest specjalistą w dziedzinie budownictwa w specjalności geotechnika.

Stopnie naukowe - doktorat n.t. z wyróżnieniem (1973 r.) za pracę doktorską pt.: "Nośność fundamentów obciążonych mimośrodowo posadowionych na zboczu" i doktora habilitowanego n.t. (1983 r.) za pracę habilitacyjną pt.: "Analiza zastosowania wybranych modeli ciał sprężystych i sprężystoplastycznych w geotechnice" - uzyskał w Politechnice Gdańskiej.

Jest autorem około 165 prac publikowanych (101 indywidualnych), w tym 3 monografii (2 wydane w Finlandii), 3 skryptów uczelnianych, 9 artykułów w recenzowanych czasopismach w USA, Anglii, Japonii, Polsce, oraz 1 patentu.

Odbył kilkumiesięczne staże naukowe w Niemczech, Danii i Finlandii. W 1995 r. mianowany na honorowe stanowisko docenta na Uniwersytecie w Tampere w Finlandii.

Jest promotorem 3 zakończonych i obronionych prac doktorskich (jedna z wyróżnieniem) oraz 2 prac doktorskich w toku (zakończenie w latach 1999-2000).

Zakres głównej działalności naukowo-badawczej prof. B. Zadrogi obejmuje: matematyczne, numeryczne i fizyczne modelowanie zagadnień stateczności podłoża pod fundamentami bezpośrednimi obciążonymi statycznie lub cyklicznie, podstawy teoretyczne i weryfikację doświadczalną nośności pali wbijanych, podstawy teoretyczne i technologiczne wzmocnienia gruntów słabych metodą wybuchów, zastosowanie sondowań dynamicznych do oceny nośności podłoża niespoistego obciążonego fundamentem bezpośrednim lub na palach, opis matematyczny i weryfikację doświadczalną zachowania się gruntów organicznych pod obciążeniem statycznym, adaptację rozwiązań mechaniki gruntów do obliczeń i analiz stateczności składowisk odpadów przemysłowych i komunalnych. W wymienionej działalności dominuje analityczno - doświadczalne podejście do poszczególnych zagadnień, polegające na realizacji idei pełnego cyklu poznawczego, a więc na łącznym doborze dla danego zagadnienia modelu fizycznego oraz odpowiedniego modelu matematycznego.

Za wyróżniającą się działalność naukowo-dydaktyczną trzykrotnie otrzymał Nagrody Ministra (jedną indywidualną), odznaczony został Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Czynnie współpracuje z przemysłem w zakresie posadawiania i stateczności szeregu wodnych i lądowych obiektów inżynierskich o złożonych układach obciążeń zewnętrznych (szczególnie w Porcie Północnym w Gdańsku, Elektrowniach w Żarnowcu, stoczniach Gdańska i Gdyni oraz w portach Gdańsk, Gdynia, Puck, Władysławowo, Ustka i Elbląg).

Bogdan Zadroga otrzymał tytuł naukowy profesora 18 czerwca 1998 r.



Henryk ZALEWSKI urodził się 2.06.1931 w Kiwercach. W 1956 r. ukończył studia na Wydziale Morskim WSE w Sopocie, uzyskując tytuł magistra ekonomii. W 1963 r. na tym samym Wydziale uzyskał stopień doktora nauk ekonomicznych. Doktorem habilitowanym jest od 1990 r. Stopień ten nadano mu na Wydziale Ekonomiki Produkcji Uniwersytetu Gdańskiego.

W dorobku naukowym profesora znajduje się 148 pozycji, w tym 121 publikacji. Dorobek ten obejmuje 12 książek, rozpraw i monografii. Po uzyskaniu tytułu opublikował 3 książki oraz jedną wspólnie z prof. Bogdanem Nogalskim z Uniwersytetu Gdańskiego. W tym czasie opublikował również 12 artykułów i referatów.

Za osiągnięcia w pracy naukowej w ostatnich trzech latach corocznie wyróżniany był nagrodami Rektora PG pierwszego stopnia. W ostatnim roku otrzymał równocześnie nagrodę pierwszego i drugiego stopnia.

Od 1976 r. pracuje w szkolnictwie wyższym. Początkowo na stanowisku adiunkta, a następnie profesora nadzwyczajnego w Uniwersytecie Gdańskim. Od 1 lutego 1993 r. jest profesorem nadzwyczajnym Politechniki Gdańskiej. Od roku 1996 jest pierwszym kierownikiem Katedry Finansów Politechniki Gdańskiej.

Pracę zawodową rozpoczął w 1949 r. Pracował najpierw w starostwie Powiatowym w Malborku. Od 1950 stale zajmuje się problematyką finansową. W latach 1950 - 52, a następnie po studiach z zakresu finansów, od 1956 do 1969 r. pracował w Narodowym Banku Polskim. W latach 1969 - 1976 kierował pionem ekonomicznym Zjednoczenia Technicznej Obsługi Rolnictwa. Od 1976 roku jest pracownikiem naukowym i nauczycielem akademickim zajmującym się dyscyplinami finansowymi.

Wykształcił ponad 200 ekonomistów, w tym około 150 magistrów i magistrów inżynierów. Wypromował 1 doktora. Pod jego kierunkiem powstaje 5 prac doktorskich, w tym 1 osoba ma otwarty przewód doktorski. W Katedrze Finansów w końcowym etapie prac znajduje się rozprawa habilitacyjna poświęcona planowaniu finansowemu w przedsiębiorstwie. Pracę tę przygotowuje dr Jan Komorowski.

Zainteresowania naukowe profesora dotyczą głównie: finansów przedsiębiorstw, szczególnie zaś spółek, polityki finansowej przedsiębiorstw, zamówień publicznych, polityki i strategii finansowania samorządu terytorialnego.

Prof. Henryk Zalewski odznaczony jest m.in. Krzyżem Kawalerskim OOP oraz Medalem Edukacji Narodowej.

Prof. Henryk Zalewski jest autorem licznych fraszek. W 1998 r. opublikował tomik fraszek pt. "Fraszki i inne drobiazgi".

Henryk Zalewski otrzymał tytuł naukowy profesora 12.06.1997 r



Olgierd Mirosław DOWNAROWICZ urodził się w 1931 r. w Gdańsku. Jest absolwentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej (1956), specjalności "Dźwigi i przenośniki". Pracę dyplomową wykonywał pod kierunkiem śp. prof. St. Łukasiewicza, który nadał jej najwyższą wg własnej skali ocenę, tj. celującą. Doświadczenie zawodowe zdobywał w dozorze technicznym, biurach projektowych, instytucjach naukowo-badawczych, organach zarządzania przedsiębiorstwami, redakcjach czasopism i w szkolnictwie wyższym.

Pracę doktorską z dziedziny badań operacyjnych pt. "Statystyczna optymalizacja przepływu węgla przez bazę portową", wykonaną pod kierunkiem doc. dra inż. Z. Bogusia, obronił na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej (1975).

Specjalizując się w naukowych podstawach eksploatacji obiektów technicznych, a w tym - w podstawach eksploatacji portów morskich, jest autorem licznych prac badawczych i publikacji.

Udziela się w Zespole Systemów Eksploatacji Sekcji Podstaw Eksploatacji Komitetu Budowy Maszyn PAN, w Polskim Naukowo-Technicznym Towarzystwie Eksploatacyjnym oraz Polskim Towarzystwie Logistycznym.

Pracę na Politechnice Gdańskiej podjął w 1983 r. jako starszy wykładowca w ówczesnym Instytucie Organizacji i Projektowania Systemów Produkcyjnych; później był okresowo docentem kontraktowym, zastępcą dyrektora tego Instytutu, a także prodziekanem b. Wydziału Technologii Maszyn i Organizacji Produkcji i Wydziału Budowy Maszyn. Jego dorobkiem jest autorski wykład i ćwiczenia z eksploatacji obiektów technicznych, ukierunkowane na problematykę zarządzania zasobami techniki. To eksploatacyjne podejście, integrujące rozwiązania wielodzielnicowe - z techniki, ekonomiki i zarządzania, uznaje się za siłę współczesnych analityków, projektantów i zarządzających złożonymi systemami technicznymi. Nie jest ono oczywiście zupełnie nowe, co najmniej dla nauki. Miłośników przedwojennej tradycji naszej uczelni zainteresują zapewne ślady takiego podejścia, gdyż już w tamtych czasach "kładziono szczególny nacisk na gospodarczo ważną dziedzinę planowanego utrzymywania i usprawniania parku maszyn. W odniesieniu do urządzeń transportu bliskiego, poza konstrukcją, specjalnie podkreślano ekonomiczność działań" (A. Wangerin: Abteilung jur Taschinenbau. [W] Beitrage und Dokumente zur Geschichte der Technischen Hochschule Danzig 1904-1945. Hannover: Gesellschaft der Freunde der Technischen Hochschule Danzig, 1979, s. 108).

Próba zebrania dorobku naukowego jest książka pt. "System eksploatacji. Zarządzanie zasobami techniki", która została przedstawiona i uznana jako praca habilitacyjna. Stopień naukowy doktora habilitowanego w dziedzinie nauk ekonomicznych w zakresie nauki o zarządzaniu nadała O. Downarowiczowi Rada Naukowa Instytutu Organizacji i Zarządzania w Przemśle w Warszawie w dniu 14 maja 1998 r., a CK ds. TiSN zatwierdziła w dniu 28 września 1998 r.

Od dnia 1 listopada jest zatrudniony na stanowisku prof. nadzw. Politechniki Gdańskiej na Wydziale Zarządzania i Ekonomii w Zakładzie Ergonomii i Eksploatacji Systemów Technicznych.

Początki informatyki w Polsce

- rozmowa z prof. Leonem Łukaszewiczem, konstruktorem komputera XYZ, absolwentem Wydziału Łączności (obecnie Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki) Politechniki Gdańskiej



Prof. Leon Łukaszewicz na seminarium naukowym Sekcji Informatyki w Korbielowie

50 - lecie informatyki obchodzone w USA i Europie Zachodniej w 1996 roku, uzasadniają tę rocznicę między innymi w następujący sposób:

a) wydanie publikacji stanowiących podstawy teoretyczne tego kierunku nauki, a mianowicie:

- A. Burbs, H. Goldstaine, J. von Neuman - Preliminary Discussion of the Logical Design of an Electrical Computing Instrument - 1946,

- A. Turing - Automatic Computing Engineering - 1946,

b) opracowanie prototypowego komputera ENIAC przez P. Eckerta i J. Mauchly w 1946 roku, oraz wyprodukowanie komputera użytkowego Mark I i II - w 1946 i 47 roku.

Komitet Informatyki PAN, nawiązując do tej rocznicy, postanowił, że w Polsce 50-lecie obchodzić będziemy w roku 1998 z uwagi na fakt powołania w roku 1948 Grupy Aparatów Matematycznych na wniosek prof. Kazimierza Kuratowskiego. W skład tej Grupy wchodził: Henryk Greniewski, Krystyn Bochenek, Leon Łukaszewicz i Romuald Marczyński. Celem ich działalności było skonstruowanie pierwszego polskiego komputera. Ten mały zespół przekształcił się następnie w Zakład Aparatów Matematycznych i wdrożył pierwszy w Polsce komputer XYZ w 1958 roku. Z pełną satysfakcją chciałbym przedstawić Państwu prof. L. Łukaszewicza, członka zwyczajnego PAN, a zarazem współtwórcę pierwszego w Polsce komputera. Oto nasza rozmowa:

1. *Był Pan członkiem zespołu GAM, któremu powierzono pracę nad stworzeniem polskiego komputera. Czy znalezienie się w tym zespole to przypadek, dobre znajomości, czy wybitne zdolności konstrukcyjne?*

Raczej naturalna kolej rzeczy. W roku 1948 ukończyłem Wydział Łączności na Politechnice Gdańskiej, pracując wcześniej jako asystent u profesora Szulkina. Razem z nim przeniósłem się do Warszawy by skończyć matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Jednocześnie pracowałem u profesora

Groszkowskiego, który polecił mnie jako młodego inżyniera i matematyka do zespołu profesora Kuratowskiego. Do zespołu tego dołączyli Bochenek i Marczyński, nasi koledzy z Politechniki Gdańskiej. Zespół był więc bardzo młody (oprócz szefa - logika Greniewskiego), a zadanie na tamte czasy było szalenie ambitne i mało ludzi wierzyło wówczas, że nam się to może udać.

2. *Największy sukces i porażka zespołu ZAM?*

Pierwszy znamieny sukces tego zespołu, to budowa analizatora równań różniczkowych w technice analogowej w 1954 roku. Z maszyną cyfrową było już więcej kłopotów, ale pracowaliśmy z ogromnym zapałem i udało się - powstał komputer XYZ!!! Wielu mogło go podziwiać i szkolić się; sporo też korzystało z pierwszych usług informatycznych. W roku 1961 opracowaliśmy również język programowania SAKO, zwany polskim Fortranem. Jednak od roku 1966 trapiły nas już znaczne kłopoty wynikające ze stosunków, jakie panowały wówczas w PRL.

3. *Czy ówczesna maszyna cyfrowa znaczyła tyle, co dzisiaj komputer personalny?*

To tak jakby piechura porównać z pasażerem samolotu. Pierwszy z nich pełza z prędkością niemowlaka, a drugi fruwa z prędkością ponaddźwiękową. Jak to opisałem w artykule prezentowanym w Internecie (<http://www.ipipan.waw.pl/~lat50>) nasz komputer wzbudzał sensację nawet u kolegów z Rosyjskiej Akademii Nauk. Liczyliśmy zadania różnego typu. Modelowaliśmy problemy techniczne, np. łopatki dla turbin w Elblągu, czy nawet medyczne, którymi zainteresowany był prof. Aleksandrowicz, znany kardiochirurg. Kolega Mazurkiewicz był doskonałym matematykiem i podziwianym programistą. Byliśmy Janosikami informatycznymi, gdyż pieniądze zarobione naszymi usługami przekazywaliśmy na potrzeby ubogiej informatyki.

4. *Jaką radę zaproponowałby Pan dzisiejszym absolwentom informatyki?*

Młodzi inżynierowie nie powinni się obawiać podejmowania śmiałych projektów. Nie powinni kierować swojego młodzieńczego zapału tylko na to, co się szybko opłaca. Z kolei osiągnięte wyniki powinny stanowić bazę zawodowego zaufania do ich pracy i stanowić podstawę ich dalszego awansu. Nie wiem, czy KBN bierze to pod uwagę, przydzielając granty, i czy mogłyby one trwać dłużej niż rok czy dwa lata, np. 5 lat, by przedstawić już konkretne i końcowe wyniki.

5. *Jak określa Pan stan dojrzałości dzisiejszej informatyki?*

Wyraziłbym to słowami: okres młodzieńczego rozwoju. Pierwsze 10 lat - to była raczej ciekawostka naukowa. Potem przysły konkrety: komputer XYZ, następnie komputer ZAM2, ZAM4, Odra 1204, Odra 1305, K202, KAR 65, Mera 60 i tak dalej. Rewolucja pecetów wprowadziła informatykę pod strzechy. Poważne badania powstały w dużych ośrodkach akademickich, rozwinęła się współpraca międzynarodowa, zniknęło embargo. Dzisiaj złożenie komputera nie jest problemem. Pozostaje jednak nadal problem jego racjonalnego i efektywnego wykorzystania.

6. Jaka rolę w Pańskim życiu odegrał Gdańsk, Politechnika Gdańska?

Studiowałem matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z różnych przyczyn, jako były AK-owiec musiałem wyemigrować do Gdańska. Zostałem asystentem u rektora Stanisława Turskiego. W Gdańsku nie było matematyki, więc wybrałem radiotechnikę, gdzie było jej najwięcej. Pamiętam, jak odgruzowywaliśmy Politechnikę. Byłem młody, było fajnie: studiować i równolegle pracować jako asystent.

7. Czy pozostały jakieś wspomnienia z tamtych lat?

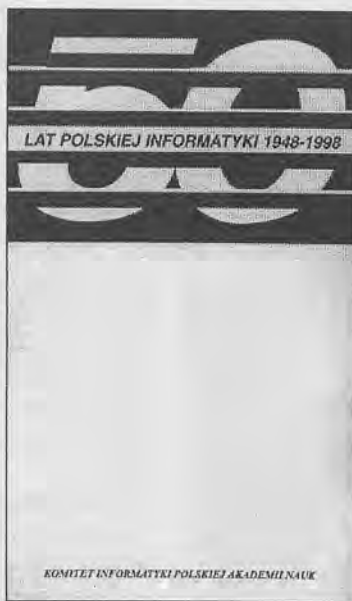
Należeliśmy do grupy "słaboprądowców". Pamiętam panią Marię Sankiewicz, która uczęszczała na prowadzone przeze mnie ćwiczenia z matematyki. Potem często w ramach prac w Akademii spotykałem się z profesorem Jerzym Seidlerem - wybitnym naukowcem z dziedziny telekomunikacji.

8. Czy słyszał Pan o Stowarzyszeniu Absolwentów Politechniki Gdańskiej - SAPG?

Tak, od pani Marii. Dostałem od niej Księgę Jubileuszową 40-lecia Wydziału Elektroniki, PG.

9. Hasłem naszego Stowarzyszenia jest: "Całą mądrość poświęcam Rzeczypospolitej" - co więc ma do zrobienia informatyka dla RP?

Hasło to bardzo mi się podoba. Zawiera nutkę patriotyzmu, co jest ważne. Zaleca dobrą służbę społeczeństwu, co jest rów-



Logo opracowane specjalnie na 50-lecie informatyki

niez istotne. Informatyka dzisiaj, jak i w moich młodych latach, jest ciągle wyzwaniem dla młodych ludzi. Potrzebujemy nowych rozwiązań, wdrożeń systemów informatycznych przynoszących satysfakcję ich użytkownikom, porządkujących organizację pracy, wspomagających kontrolę i ocenę. Wiele odpowiedzialnych systemów...

10. Już na zakończenie: kim jest dzisiaj prof. Leon Łukasiewicz?

Zajmuję się nadal nauką. Interesuje mnie gałąź informatyki i matematyki nazywana rozumowaniem komputerowym (computer - aided reasoning). Korzystam też z prostych usług informatycznych, jak e-mail czy WWW.

Dziękuję za rozmowę. Życzę Panu Profesorowi wiele dobrego w życiu osobistym i dalszego zgłębiania tajników ludzkiego umysłu. Jestem przekonany, że jest Pan wzorcem dla wielu obecnych absolwentów informatyki, i to nie tylko Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej. To ich sukcesy przyczynią się do dalszego rozwoju tej wspaniałej dyscypliny naukowej, będą kreować jej rzeczywiste (nie wirtualne) oblicze w nowym 50-leciu.

Korbielów, 15.11.1998

Henryk Krawczyk

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

KOMPUTERYZACJA TO NIE WSZYSTKO

czyli refleksje z pobytu w bibliotekach Uniwersytetu Katolickiego w Louvain-la-Neuve

W roku 1996 biblioteki polskie otrzymały środki finansowe z programu TEMPUS na realizację projektu "Integration of Polish and Western Technical University Libraries in Information Tasks". Dzięki temu w czerwcu 1996 roku grupa bibliotekarzy z polskich uczelni technicznych odwiedziła kilka naukowych bibliotek w Belgii, m.in. Bibliotekę Królewską i Bibliotekę Wolnego Uniwersytetu w Brukseli, Bibliotekę Uniwersytetu w Leuven oraz Bibliotekę Uniwersytetu Katolickiego w Louvain-la-Neuve. Mieliśmy okazję zapoznać się z organizacją pracy tych bibliotek, ich zbiorami (zarówno tradycyjnymi, jak i na nowoczesnych nośnikach informacji), a także zobaczyć

i porównać stopień informatyzacji i automatyzacji naszych bibliotek. Najwięcej czasu spędziliśmy w Louvain-la-Neuve, zapoznając się z pracą bibliotek tamtejszego Uniwersytetu. W niniejszym artykule chciałabym się podzielić moimi spostrzeżeniami i uwagami, jakie nasunęły mi się podczas tego pobytu. Być może zainteresują one nie tylko osoby związane z bibliotekarstwem, ale także tych, którym sprawy bibliotek nie są obojętne.

Uniwersytet Katolicki w Louvain-la-Neuve jest najmłodszym ośrodkiem uczelnianym w najmłodszym mieście Belgii. Historia miasta i historia uczelni są nierozdzielnie ze sobą związane, powstanie uniwersytetu dało początek nowemu miastu.

Początki Uniwersytetu sięgają XV wieku, a dokładnie 9 grudnia 1425 r. Wtedy to, na mocy bulli papieskiej Marcina V, powstaje ośrodek uniwersytecki w Leuven, w prowincji Brabancja. W pierwszych latach swego istnienia składał się on z 4 fakultetów (prawo kanoniczne, prawo cywilne, sztuki piękne i medycyna), w roku 1432 powstaje fakultet medyczny. W tym okresie studiują tutaj najwybitniejsi uczeni tego stulecia, m.in. Erazm z Rotterdamu, Merkator, Mercier, Lemaitre i inni.

Inną ważną datą w historii Uniwersytetu jest rok 1797; wtedy to, po okresie okupacji francuskiej, zostaje on całkowicie zniszczony. Dopiero w 1817 roku otwiera swoje podwoje dla studentów i uczonych, lecz już jako uniwersytet państwowy. Ponownie zmienia swój status w roku 1634, stając się na powrót



uczelnia katolicka; w czasie II wojny światowej poważnie zniszczone, po jej zakończeniu sukcesywnie odbudowywany. Na Uniwersytecie studiuje młodzież z obu grup etnicznych zamieszkujących Belgię (Flamandowie i Wallonowie), lecz pod koniec lat 60. zaczynają się pojawiać pierwsze nieporozumienia na tle narodowościowym.

Wkrótce pod presją opinii flamandzkiej Uniwersytet dzieli się na dwie jednostki administracyjne: flamandzką z językiem flamandzkim i część frankofońską, gdzie językiem wykładowym jest język francuski. Takie rozwiązanie nie zadowoliło Flamandów, którzy zażądali usunięcia części frankofońskiej Uniwersytetu z Leuven.

W tej sytuacji 28.V.1970 roku król belgijski Baudouin I przyznał osobowość prawną dwom uniwersytetom, Uniwersytet flamandzki został w Leuven, drugi - frankofoński przeniósł się na ziemię wallońską, w okolicy miasta Ottignies.

Dnia 2 II 1971 r. został położony kamień węgielny pod nowe miasto będące siedzibą nowego uniwersytetu. Miasto to otrzymało nazwę Louvain-la-Neuve, czyli nowe Louvain. Lata 1972-1979, to okres systematycznego przenoszenia się 9 wydziałów do Louvain-la-Neuve; dzisiaj jedynie wydział medyczny znajduje się w Woluwe-Saint-Lambert, jednej z dzielnic Brukseli. Obecnie Uniwersytet Katolicki w Louvain-la-Neuve to **21 tysięcy studentów ze 105 krajów świata**, studiujących na 10 wydziałach. Najwięcej, bo aż 31,7% - to młodzież z krajów afrykańskich, dużo jest także studentów z Ameryki Północnej i Południowej (9,7%). Uniwersytet - to także 3 tysiące nauczycieli akademickich, w tym wielu wybitnych uczonych i badaczy z różnych stron świata, będących tutaj na kontraktach. Do dyspozycji studentów i naukowców są wspaniale wyposażone laboratoria i bogato zaopatrzone biblioteki. Na Uniwersytecie w Louvain-la-Neuve znajduje się 7 bibliotek wydziałowych, które tworzą jednolity system biblioteczo-informacyjny uczelni. Są to następujące biblioteki: Biblioteka Główna i Humanistyczna, Wydziału Prawa, Wydziału Nauk Ekonomicznych, Społecznych i Politycznych, Wydziału Psychologii i Pedagogiki oraz Wydziału Nauk Ścisłych. Dzisiaj zbiory bibliotek uczelnianych liczą ponad **2 mln vol. książek i 8,5 tys. tytułów prenumerowanych czasopism rocznie**.

Jedną z większych bibliotek jest biblioteka trzech wydziałów Uniwersytetu: Wydziału Nauk Ścisłych, Nauk Stosowanych i Nauk Rolniczych. Znajduje się ona w nowoczesnym, pięciokondygnacyjnym budynku w stylu staroromańskim, zaprojektowanym przez znanego architekta belgijskiego Paula Jacquimina. Jako ciekawostkę można dodać, że w roku 1998 budynek biblioteki został uznany za najoryginalniejszy gmach miasta. Z myślą o przyszłych użytkownikach, w założeniach projektowych biblioteki przyjęto:

- wolny dostęp do ponad 65% zbiorów,
- bezpośredni dostęp do różnych typów zbiorów (czasopisma, książki, bazy danych i dokumenty audiowizualne),
- integrację z życiem kampusu uniwersyteckiego.

Biblioteka nie ma portierni ani szatni. Cały gmach jest podłączony do ogólnouczelnianego, elektronicznego systemu ochrony budynków. Do dyspozycji osób korzystających z Biblioteki jest szereg szafek zamykanych na klucz, który jest w ich posiadaniu na czas pobytu w Bibliotece. Na teren Biblioteki mają wstęp tylko osoby uprawnione, wstępu na teren budynku broni elektroniczna "bramka" otwierana przy użyciu karty magnetycznej będącej jednocześnie kartą biblioteczną.

Na parterze budynku usytuowane jest stanowisko dyżurującego bibliotekarza, będące jednocześnie punktem informacyjnym. To tutaj czytelnik załatwia wszelkie formalności związane



z zapisaniem się do biblioteki, tu także uzyska odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące zbiorów Biblioteki i sposobu korzystania z nich. U dyżurującego bibliotekarza kupuje się również karty magnetyczne do samoobsługowych kserokopiarek i składa zamówienia na wypożyczenia międzybiblioteczne.

Żeby skorzystać ze zbiorów Biblioteki, czytelnik musi posiadać kartę biblioteczną, wystawioną przez wydział, na którym studiuje bądź pracuje. Karta ta (płatna) jest ważna cały rok akademicki i daje prawo korzystania ze zbiorów bibliotek całej Uczelni. Dla użytkowników spoza Uniwersytetu istnieje możliwość wykupienia jednodniowej karty wstępu do Biblioteki, co dla nas, bibliotekarzy z Polski, było całkowitą nowością. Zasadą jest tutaj "dla użytkowników wszystko", ale nie zapomina się też o rachunku ekonomicznym. Zresztą na każdym kroku widać, że do oszczędności przywiązuje się dużą wagę, począwszy od racjonalnego korzystania z materiałów biurowych, a skończywszy na liczbie personelu.

W holu Biblioteki znajdują się liczne stanowiska komputerowe dla czytelników, z różnego rodzaju zainstalowanymi programami. Kilka z terminali obsługuje katalog on-line sieci bibliotecznej całego Uniwersytetu. Do roku 1998 w bibliotekach Uczelni do tworzenia katalogów bibliecznych wykorzystywano system ISIS. W roku 1997 zakupiono nowy, zintegrowany system biblioteczo-informacyjny amerykańskiej firmy VTL S Inc., który działa w bibliotece od 1 sierpnia 1998 r. pod nazwą **LIBELLULE** (Livres de l'Information et des Bibliothèques de l'Université Catholique de Louvain). Umożliwił on skomputeryzowanie wszystkich czynności bibliecznych, włącznie z wypożyczaniem książek. Dzięki LIBELLULE użytkownik ma także bezpośredni dostęp do wewnętrznych baz danych Uczelni, jak również do baz danych

innych ośrodków naukowych Belgii. Najbardziej popularnymi i najczęściej wykorzystywanymi wewnętrznymi bazami danych są :

- CURRENT CONTENTS, zawierający artykuły z 7 działów (ok. 10 mln abstraktów),
- MEDLINE, wersja elektroniczna INDEX MEDICUS,
- ECONLIT, zawierająca abstrakty z American Economic Association,
- SCIENCES CITATION INDEX i SOCIAL SCIENCES CITATION INDEX.

Poprzez system można skorzystać również z pozauczelnianych baz danych, takich jak :

- LIBIS, grupującej katalogi komputerowe z ponad 20 instytucji naukowych i ośrodków uczelnianych Belgii oraz Biblioteki Królewskiej w Brukseli,
- ANTILOPE, pozwalającej na wyszukanie bieżących czasopism w bibliotekach belgijskich, Bibliotece w Delft, British Library oraz w INISIT.

Oprócz terminali obsługujących system LIBELLULE, na parterze Biblioteki znajdują się stanowiska komputerowe z programami instruktażowymi do obsługi bibliotecznych baz danych, poszukiwań katalogowych i bibliograficznych oraz do nawigacji w INTERNECIE. Pomyślano także o nowo przyjętych studentach i o czytelnikach odwiedzających Bibliotekę okazjonalnie. Z myślą o nich, na jednym z komputerów jest zainstalowany program dydaktyczny, którego celem jest zapoznanie ich z Biblioteką, jej zbiorami i sposobami korzystania z nich. Biblioteka Wydziału Nauk Ścisłych posiada bogaty zbiór filmów naukowych na video i na CD-ROM-ach. Wykaz dostępnych filmów umieszczony jest obok kabiny video. Czytelnik po wybraniu interesującego go filmu lub CD-ROM-u może go otrzymać w punkcie informacyjnym na parterze, za okazaniem legitymacji bibliotecznej.

Wewnętrznymi schodami można dostać się na wyższe piętra Biblioteki. Na każdym z nich zgromadzone są zbiory książek i czasopism, w sumie ok. 65% zbiorów jest w wolnym dostępie. Na każdym z pięter zgromadzono książki i czasopisma

z innej dziedziny i specjalności wykładanej na trzech wydziałach. I tak:

- I piętro - chemia,
- II piętro - matematyka i fizyka,
- III piętro - geografia i geologia,
- IV piętro - biologia,
- V piętro - astronomia i rolnictwo.

Na pierwszym piętrze umieszczona jest tablica informacyjna dotycząca rozmieszczenia zbiorów na poszczególnych piętrach Biblioteki. Dla szybkiego zlokalizowania poszukiwanych książek i czasopism zastosowano tutaj własną klasyfikację przedmiotową. Wszystkie książki w Bibliotece, ich liczbę szacuje się na ok. 450 tys. vol., posiadają własny numer inwentarzowy, będący kombinacją liter i cyfr. Umieszczona na początku sygnatury litera określa status książki (w wolnym dostępie - A, zastrzeżona - B, przechowywana w magazynie - C, w bibliotece zakładowej - D). Następująca po niej cyfra, to wskazanie dyscypliny wiedzy i jednocześnie piętro, na którym się książka znajduje, kolejna liczba dwucyfrowa oznacza podział danej dyscypliny na działy, a trzy ostatnie cyfry określają miejsce książki na półce. Przykładowo: sygnatura A 5 20 000 X oznacza książkę z dziedziny geografii dotyczącą metod ilościowych, znajdującą się na III piętrze w wolnym dostępie.

Czasopisma, podobnie jak książki - rocznie prenumeruje się w Bibliotece ok. 500 tytułów - są udostępniane w wolnym dostępie. Czasopisma z bieżącego roku i lat wcześniejszych są eksponowane na specjalnie skonstruowanych regałach, a w magazynach znajdują się jedynie te roczniki, na które brakuje miejsca w czytelniach. Czytelnik poszukujący określonego tytułu czasopisma ma do swojej dyspozycji dwa katalogi czasopism. Jeden, to katalog komputerowy (znajduje się na parterze budynku) zawierający alfabetyczny spis wszystkich czasopism znajdujących się w Bibliotece, drugi - w postaci wydruku komputerowego, podaje stan kompletności poszczególnych roczników. Cdn.

Barbara Kaczor
Biblioteka Główna



Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że w dniu 22 stycznia 1999 roku zmarł w wieku 86 lat
ś.p.

prof. dr inż. Zenon Jagodziński

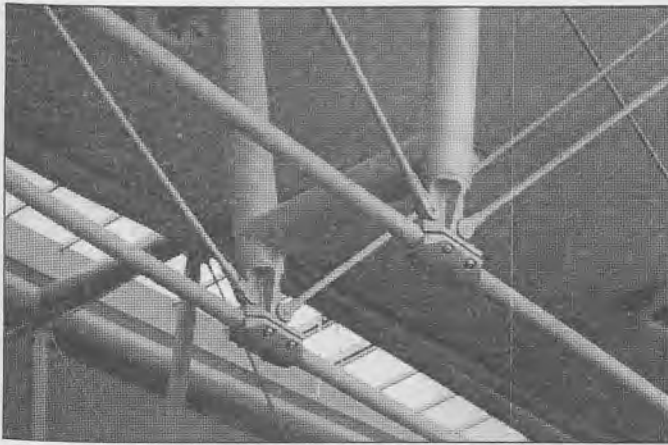
emerytowany profesor Politechniki Gdańskiej,
doktor honoris causa University of Surrey,
wybitny naukowiec, zasłużony nauczyciel akademicki,
wychowawca wielu pokoleń inżynierów
Student Politechniki Lwowskiej i Warszawskiej,
uczestnik kampanii wrześniowej, jeniec oflagu w Woldenbergu,
absolwent londyńskiego Imperial Institute of Science and Technology.

Profesor był jednym z głównych organizatorów Wydziału Łączności, później Elektroniki, pełniąc szereg odpowiedzialnych funkcji. Był dwukrotnie prodziekanem Wydziału, twórcą i wieloletnim kierownikiem Katedry Radionawigacji oraz Zakładu Hydroakustyki i Elektrofonii. Przez dwie kadencje pełnił funkcję przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Akustycznego, będąc też członkiem Komitetu Akustyki PAN i rad naukowych wielu instytucji związanych z gospodarką morską.

Był uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką Honorową Zasłużonym Ziemi Gdańskiej.

Za działalność naukową i dydaktyczną nagradzany był wielokrotnie nagrodami Ministra Szkolnictwa Wyższego, Ministra Obrony Narodowej, Przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki i wieloma innymi. Wypromował 10 doktorów, z których 5 uzyskało stopień doktora habilitowanego.

Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek szlachetny, życzliwy, głębokiej kultury.



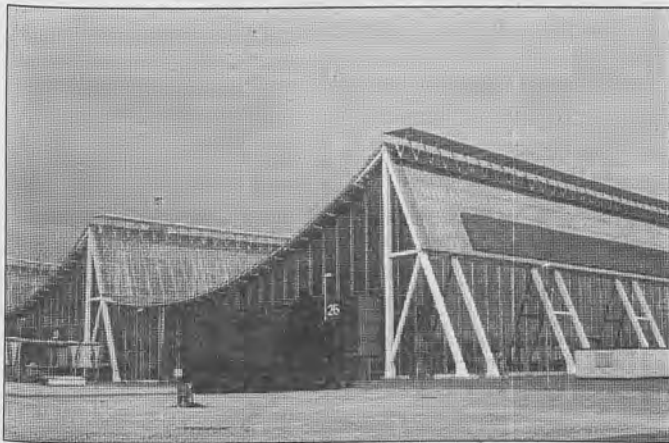
Fot. 1



Fot. 2

Wyjazd szkoleniowy pracowników Katedry Konstrukcji Metalowych do Niemiec

W dniach 14-18 czerwca 1998 roku pracownicy Katedry Konstrukcji Metalowych w niemal pełnym składzie przebywali w Niemczech, zwiedzając ciekawe obiekty inżynierskie (na 11 pracowników dydaktycznych Katedry tylko jeden nie mógł wziąć udziału w wyjeździe ze względów losowych). Wyjazd odbył się w ramach współpracy z prof. Hartmanem Pasternakiem, kierownikiem Katedry Konstrukcji Metalowych Uniwersytetu Technicznego w Cottbus. Prof. Pasternak zaproponował trasę wycieczki technicznej oraz zarezerwował niedrogie noclegi. Z funduszy naszej Katedry pokryte zostały koszty przejazdu mikrobusem Politechniki oraz koszty noclegów. Pracownicy Katedry indywidualnie pokryli koszty wyżywienia.



Fot. 3

Trasa wycieczki była następująca: Gdańsk, Szczecin, Hanower, Poczdam, Berlin, Niederfnów, Szczecin, Gdańsk.

W Hanowerze zapoznaliśmy się z konstrukcją nowo wybudowanych hal wystawowych na terenach Targów. Hale te zostały wzniesione z perspektywą wykorzystania ich na Wystawę Światową EXPO w 2000 roku.

Hala nr 4 ma rozpiętość 122,0 m i wiazary dachowe z pasami dolnymi z lin stalowych (fot. 1 i 2).

Hala nr 26 ma bardzo oryginalne wiszące pokrycie o rozpiętości 115,5 m (fot. 3). Cały obszar Targów w Hanowerze obfituje w ciekawe obiekty inżynierskie (fot. 4). Ponadto w Hanowerze zapoznaliśmy się z oryginalną konstrukcją dwóch nowych mostów oraz zwiedziliśmy budowę dwóch innych mostów (fot. 5). W drodze z Hanoweru do Poczdamu nadłożyliśmy nieco kilometrów, aby na 1,5 godziny zatrzymać się w uroczym miasteczku Celle, w którym cała dzielnica złożona jest z budynków o ścianach z "pruskiego muru". Odremontowane budynki pochodzą z XVII wieku. Elementem turystycznym wycieczki było zwiedzanie pałacu i parku w Poczdamie (fot. 6).

W parkowym arboretum drzewa cypryśnika błotnego rosnące na podmokłym terenie wypuszczają ponad grunt guzowate fragmenty korzeni, aby czerpać powietrze. Legenda głosi, że sprawdzają się życzenia ludzi, którzy siadają na tych guzach. Ile jest prawdy w tej legendzie, wnet przekonają się pracownicy naszej Katedry (fot. 7).

Największy plac budowy w Europie - centrum Berlina (fot. 8) najwygodniej jest oglądać z pokładu spacerowego stat-



Fot. 4



Fot. 5



Fot. 6



Fot. 8



Fot. 7

ku kursującego po Sprewie; odpada wówczas niezwykle uciążliwy problem parkowania samochodu.

Istotnym punktem programu naszej wycieczki technicznej było zwiedzanie imponującej budowli stalowej - podnośni barrek na kanale Odra - Hawela w Niederfnów. Budowla ta powstała w latach 1927-1934 i zastąpiła zespół śluz, którym barki pokonywały występującą w tym miejscu różnicę poziomu terenu - 36 m. Obecnie barki wpływają do stalowej "niecki" -

skrzyni bez wieka z podnoszonymi krótszymi ścianami bocznymi, które pełnią funkcję bram. "Niecka" ma wymiary gabarytowe 85,0 x 12,0 x 2,5 m; po zamknięciu bramy ma ona wraz z wypełniającą ją wodą wagę około 4300 ton. "Niecka" podnoszona jest na wysokość 36 m w ciągu 5 minut. Zespół podnoszący składa się z 4 silników elektrycznych o zadziwiająco małej mocy 55 kW każdy oraz z systemu przeciwwag, kół linowych i lin, na których zawieszono przeciwwagi. Ta unikatowa budowla wywarła na wszystkich pracownikach Katedry ogromne wrażenie. Oprócz zapoznania się z jej konstrukcją, odbyliśmy także przejazd statkiem turystycznym z kanału górnego do dolnego i ponownie do kanału górnego (fot. 9). Statek turystyczny wpłynął do "niecki" podnośni razem z barkami, których portem macierzystym, zbiegiem okoliczności, był Wrocław (fot. 10).

Wszystko, co dobre, ma niestety swój koniec - prof. J. Ziółko pożegnał się z prof. H. Pasternakiem mówiąc "do kolejnego spotkania".

Wycieczka techniczna oprócz poszerzenia wiedzy pracowników Katedry, co niewątpliwie będzie miało odbicie w lepszym poziomie pracy dydaktycznej, przyczyniła się do integracji zespołu. Był to już drugi nasz wspólny wyjazd; w 1996 roku w pełnym składzie Katedry odbyliśmy wyjazd szkoleniowy do trzech hut (do Katowic, Rudy Śląskiej i Częstochowy), aby zapoznać się z nowoczesną technologią wytopu stali oraz walcowaniem kształtowników stosowanych na konstrukcje budowlane. Ponieważ ta forma praktycznego dokształcania się zdobyła uznanie pracowników Katedry, planujemy już następną "szkołę wakacyjną".

Jerzy Ziółko

Wydział Budownictwa Lądowego



Fot. 9



Fot. 10

Profesor Helmut Meissner Pełnomocnik Uniwersytetu Kaiserslautern ds. Współpracy z Politechniką Gdańską

Początki współpracy naukowej pomiędzy Politechniką Gdańską a Uniwersytetem Kaiserslautern z Niemiec sięgają roku 1986, kiedy to z inicjatywy Profesora Helmuta Meissnera oraz niżej podpisanego doszło do oficjalnego zawarcia umowy o bezpośredniej współpracy naukowej pomiędzy obu naszymi Uczelniami.

Współpraca od początku prowadzona była ze strony Uniwersytetu niemieckiego przez Wydział Architektury, Inżynierii Środowiska i Budownictwa (Fachbereich Architektur / Raum- und Umweltplanung / Bauingenieurwesen), a ze strony polskiej przez Wydział Hydrotechniki (obecnie Inżynierii Środowiska) oraz Wydział Budownictwa Lądowego. W okresie współpracy zorganizowano trzy sympozja na temat różnych problemów i nowoczesnych rozwiązań w budownictwie i inżynierii środowiska z wydaniem obszernych materiałów konferencyjnych. Czwarte odbędzie się w czerwcu 1999 r. Kilkunastu młodszych pracowników odbyło wzajemne staże naukowe. Zorganizowano przeszło 20 wizyt naukowych profesorów.

Ponadto na szczególne podkreślenie zasługują organizowane prawie corocznie wymienne wizyty i praktyki grup studenckich.

We wszystkich tych działaniach prof. H. Meissner odgrywa wielką rolę, jako inicjator i organizator oraz osoba bezpośrednio odpowiedzialna z ramienia Uniwersytetu Kaiserslautern za prowadzoną współpracę naukową.

W dowód uznania Rektor Politechniki Gdańskiej prof. A. Kołodziejczyk wręczył Mu uroczystie w roku 1996 Medal Pamiątkowy naszej Uczelni podczas zorganizowanego w Gdańsku III Polsko-Niemieckiego Sympozjum pt. "Nowoczesne zagadnienia inżynierii środowiska i budownictwa".

Niniejszą krótką notatkę, przedstawiającą poniżej w dużym skrócie sylwetkę Profesora, napisałem w podziękowaniu za dotychczasową Jego współpracę z nami, łącząc to jednocześnie z 60. rocznicą Jego urodzin.

Prof. dr hab. inż. Helmut Meissner urodził się w 1938 roku w Wilhemshaven. W latach 1960 - 1965 studiował na Uniwersytecie w Karlsruhe i uzyskał tytuł mgr inż. (Dipl. - Ing.) w specjalności *konstrukcje betonowe i żelbetowe*.

W roku 1966 odbył roczny staż przemysłowy w Hamburgu w firmie Boswau i Knauer. Od roku 1967 rozpoczął pracę jako asystent w Instytucie Mechaniki Gruntów i Skał Uniwersytetu w Karlsruhe, uzyskując w roku 1972 stopień naukowy doktora. Tematem jego dysertacji było zagadnienie nieliniowej zależności pomiędzy obciążeniem i odkształceniem gruntu ziarnistego.

W latach 1972 - 1982, oprócz pracy dydaktycznej i naukowej, objął w wyżej wymienionym Instytucie stanowisko głównego inżyniera, koordynującego prace badawcze, oraz uzyskał stanowisko docenta (Privat Dozent). Stał się najbliższym współpracownikiem kierownika Instytutu prof. Gerda Gudehu-



Fot. A. Pacek

sa, doktora honoris causa Politechniki Gdańskiej. W roku 1982 otrzymał stopień naukowy doktora habilitowanego za pracę pt. "Nośność osiowa i pozioma pali wierconych w gruntach niepoistych".

Następnie, w 1983 roku przeniósł się do Uniwersytetu w Kaiserslautern, obejmując stanowisko dyrektora Instytutu Mechaniki Gruntów i Fundamentowania oraz uzyskując tytuł profesora.

Podstawowe zainteresowania oraz działalność naukowa Profesora H. Meissnera łączą się z różnymi problemami geotechniki, a przede wszystkim z fundamentami głębokimi, ścianami szczelinowymi, konstrukcjami tuneli, zapór, posadowieniami różnych obiektów przemysłowych, w tym elektrowni atomowych. Jest wybitnym specjalistą w zakresie numerycznych metod obliczeń układów statycznych i dynamicznych.

W ostatnim okresie zajmuje się również geotechniką w inżynierii środowiska, głównie w odniesieniu do problemów składowania odpadów przemysłowych. Zajmuje się też unikatowym zagadnieniem przemarzania gruntów i podłoża gruntowego.

Profesor H. Meissner opublikował ponad 100 artykułów w poważnych czasopismach naukowych oraz materiałach licznych międzynarodowych konferencji. Jest członkiem wielu organizacji, stowarzyszeń i komitetów naukowych niemieckich i zagranicznych, uznanym w świecie specjalistą i autorytetem w dziedzinie geotechniki.

Ale przede wszystkim jest niezwykle sympatycznym człowiekiem, przyjacielem Polski i Polaków, interesującym się naszym krajem i zachodzącymi w nim przemianami.

Z okazji Jubileuszu sześćdziesięciolecia urodzin życzymy Profesorowi wszystkiego najlepszego oraz dalszej owocnej działalności w naszej, jak dotychczas bardzo aktywnej współpracy naukowej. 100 lat!

Andrzej Tejchman
Wydział Inżynierii Środowiska



Zdalny System Monitorowania wód Zatoki Gdańskiej opracowany przez Sekcję "Systemy Monitoringu Środowiska" Koła Naukowego Studentów Wydziału Elektroniki Telekomunikacji i Informatyki

Opis prototypu

Sponsorem projektu jest operator sieci cyfrowej telefonii komórkowej Plus GSM.

Niniejsze opracowanie prezentuje system monitorowania wybranych parametrów wody Zatoki Gdańskiej, stworzony i rozwijany przez studentów Politechniki Gdańskiej, członków sekcji Koła Naukowego Studentów Wydziału ETI "Systemy Monitoringu Środowiska".

Ideą budowy Zdalnego Systemu Monitorowania było stworzenie narzędzia nie tylko wspomagającego pracę badawczą i naukową, ale także umożliwienie zdalnej kontroli parametrów wody morskiej - on line - instytucjom związanym z ochroną środowiska. Konieczność budowy tego typu systemów potwierdza wykład dr. Edwarda Jackowskiego z Morskiego Instytutu Rybackiego na temat zanieczyszczania Zatoki Gdańskiej, wygłoszony na spotkaniu Sekcji.

Opis funkcjonalny systemu monitorowania

Hydrologiczne pomiary morskie, to głównie pomiary temperatury i zasolenia wody w funkcji głębokości. Na podstawie tych dwóch parametrów można obliczyć gęstość wody morskiej. Uzyskanie innych parametrów, np. zasolenia, pH czy ilości zawieszonych substancji organicznych, wymaga zastosowania dodatkowych czujników.

Obecnie, system prototypowy wyposażony jest w jedną sondę, w skład której wchodzi: układ mikroprocesorowy, czujnik temperatury, system zasilania oraz układ nadawczy współpracujący z siecią cyfrowej telefonii komórkowej Plus GSM. Istnieje jednak możliwość dołączenia kolejnych czujników, które mogą pracować niezależnie od siebie.

Sonda będzie umieszczona w pobliżu Moło w Sopocie i uaktywniana raz na godzinę. W ciągu kilkunastu sekund ma za zadanie przesyłać dane na ląd do komputera centralnego, gdzie dane są archiwizowane i przesyłane do komputera sieciowego podłączonego do Internetu. Dzięki temu informacje o temperaturze wody kąpieliska są dostępne - on-line - poprzez Internet.

Komputerem sieciowym może być pracujący w tej sieci. Komputerem centralnym jest w tym wypadku 486 pracujący 24 godziny na dobę. O ustanowieniu takiej konfiguracji zdecydowało kilka czynników:

- komputer centralny musi pracować non-stop, a więc musi być niezawodny, stabilny i niedrogi w eksploatacji;
- komputer sieciowy ma za zadanie udostępnianie plików na potrzeby użytkowników Internetu. Za archiwizację danych, podnoszenie ewentualnych alarmów i komunikację z sondą jest odpowiedzialny komputer centralny.

Koncepcja Zdalnego Systemu Monitorowania została utworzona na bazie kilku modeli i protokołów przesyłania informacji:

1. Pomiary w środowisku (czujniki elektroniczne).
2. Transfer danych (sieć cyfrowej telefonii komórkowej Plus GSM - bezprzewodowe modemy cyfrowe boja - ląd).
3. Przetworzenie danych (stacja bazowa).
4. Udostępnienie danych (format HTML oraz baza danych).

Opis schematu

Schemat blokowy ww. systemu pokazany jest na rys. 1 wraz z opisem zasady działania.

Układ zasilany jest z zewnętrznych akumulatorów. W czasie spoczynku, jedynymi układami pobierającymi energię są stopień wejściowy zasilacza oraz zegar czasu rzeczywistego. On właśnie uaktywnia cały układ co godzinę. Raz na godzinę układ jest włączany. Wykonuje wówczas następujące czynności:

- włącza modem komunikacyjny i zaczyna inicjację połączenia do bazy - komputera centralnego,
- w trakcie nawiązywania połączenia uaktywnia czujnik temperatury,
- próbuje napięcie podawane przez czujnik i w postaci danych cyfrowych zapisuje w zewnętrznej pamięci Flash-EPROM,
- po nawiązaniu połączenia przesyła dane na ląd poprzez sieć cyfrowej telefonii komórkowej Plus GSM,
- po potwierdzeniu przez bazę odbioru danych rozłącza połączenie,

- wyłącza się do stanu czuwania.

Schematy ideowe układu i schemat obwodów drukowanych można znaleźć na stronie internetowej sekcji pod adresem:

<http://dolphin.eti.pg.gda.pl/~ssms>

Cały system stanowi jednolity moduł dostępu do podstawowych parametrów wody, jest jednak łatwy do przeniesienia i instalacji w każde dowolne środowisko. Właściwość ta ma niebagatelne znaczenie, albowiem umożliwia elastyczne modyfikowanie systemu zgodnie z zapotrzebowaniem klienta. Takie rozwiązania wyznaczają obecnie kierunek rozwoju monitoringu środowiskowego. Ogromne znaczenie tego typu zagadnień obnażyła w sposób dramatyczny ubiegłoroczna, letnia



Rys. 1. Schemat blokowy systemu

powódź, która dotknęła południowe rejony Polski. Zabrakło wówczas systemu monitorującego stan wody w rzekach, potrafiącego analizować opady deszczu, takiego, który mógłby zaalarmować odpowiednie służby obrony cywilnej odpowiedzialne za bezpieczeństwo obywateli.

Dane i parametry uzyskiwane tą drogą będą również udostępniane publicznie w sieci rozległej Internet na bazie protokołu HTTP i systemu dokumentów w formacie HTML. Dalsze plany obejmują przygotowanie bazy danych SQL operującej na gromadzonych zasobach.

Podział pracy przy realizacji projektu: projekt schematu centrali - Paweł Poćwiardowski, Janusz Podliński; projekt płyty głównej centrali - Paweł Poćwiardowski, Janusz Podliński, Tomasz Trojanowski; projekt czujnika temperatury - Tomasz Gawlik, Adam Grzenia; wykonanie czujnika temperatury - Tomasz Gawlik, Adam Grzenia, Janusz Podliński; projekt i wykonanie układu konwertera - Janusz Podliński, Adam Skuras; projekt i wykonanie mechaniki sondy (obudowa, montaż podzespołów) - Janusz Podliński; oprogramowanie mikrokontrolera - Tomasz Pomianowski; oprogramowanie układów pa-

mięciowych i zegara czasu rzeczywistego - Tomasz Pomianowski; oprogramowanie komputera centralnego - Paweł Poćwiardowski; oprogramowanie komputera sieciowego - Krzysztof Marcinowicz; patronat multimedialny - Tomasz Gawlik

Serdeczne podziękowania pragniemy złożyć opiekunowi naszej sekcji dr. Krzysztofowi Zachariaszowi, za poświęconą uwagę i zaangażowanie w nasz projekt.

Składamy podziękowania pracownikom Katedry Akustyki, których pomocy i fachowej wiedzy zawdzięczamy powstanie systemu, oraz wszystkim osobom, które pomagały nam przy jego budowie.

Dziękujemy również przedstawicielom sieci cyfrowej telefonii komórkowej Plus GSM za sponsorowanie naszych badań i życzliwą współpracę.

Członkowie sekcji "Systemy Monitoringu Środowiska" Koła Naukowego Studentów Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

*Andrzej Antoń, Paweł Poćwiardowski
Studenci Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki*

Ciąg dalszy sporu o systemowe zmiany kształcenia technicznego

Coraz to bardziej niepokojące sygnały o niedostatkach efektywności kształcenia inżynierów skłaniają do zabrania głosu na temat szczególnie newralgicznego fragmentu działalności pedagogicznej uczelni technicznej, a dotyczącego okresu poprzedzającego rozpoczęcie studiów przez maturzystów przyjeżdżających na studia.

Jeżeli potrzebna jest wypolerowana deska, a z tartaku dostajemy zaledwie przetartą przez piły, to musimy ją - w pocie czoła - wygładzić i polerować we własnym zakresie.

Jeżeli maturzysta, zgłaszający się na studia - z przyczyn nie w pełni zależnych od niego - nie ma spójnego systemu motywacyjnego, a szkoła średnia nie wdrożyła go do dyscypliny efektywnej pracy umysłowej, to zderzenie z torem wymagań na uczelni przerasta jego możliwości. Wszelkie formy awaryjnego douczania - np. w postaci dodatkowych konsultacji dopiero po ujawnieniu katastrofalnych niedomagań - są spóźnione, a jeśli ratują - jak straż pożarna - to tylko niektóre już zwęglone ambicje.

Kiedyś mówiło się: zakład naukowo-wychowawczy. Czyńmy więc naszą powinność wychowawczą, bo przed wakacjami zadeklarowaliśmy przyjęcie maturzystów na studia. Zważmy, że ostateczne kształtowanie się osobowości młodego człowieka może poprawnie przebiegać tylko w warunkach należytego przygotowania do świadomego podjęcia trudów studiowania.

Najdłuższe wakacje w życiu - od matury w maju do października - stanowią zdumiewająco niefrasobliwy atrybut maturzysty przyjętego już na studia; to dramatyczna luka pedagogiczna ze strony uczelni technicznej. Niedawni maturzyści w tym czasie są niczyi; do szkoły już nie należą, bo zdali maturę, a uczelnia techniczna wprawdzie już ich przyjęła, ale nie interesuje się nimi, bo właśnie rozjeżdża się na zasłużone wakacje. Młodzież ta zostaje więc w próżni społecznej.

Istnieją przeróżne formy racjonalnego wykorzystania nadmiaru wolnego czasu przed maratonem studiowania. Racjonalna rozgrzewka (ćwiczenia adaptacyjne) - dla wysoce róż-

nicowanych maturzystów - przed właściwym treningiem może sprawić, że jedni zmobilizują się do udziału w zawodach, a inni pozbedą się złudzeń i z tej racji w porę zmienią swoje plany życiowe, a przez to unikną stresu upokorzenia i nie będą przeszkadzali lepiej rokującym kolegom oraz odciążą przepracowanych nauczycieli i bezzasadnie przeładowane sale wykładowe.

Tradycje przeróżnych szkół letnich oraz obozów adaptacyjnych, doksztalcających (np. językowych) itp. są wystarczające, a dodatkowo trzy pierwsze tygodnie września można by przeznaczyć na zajęcia audytoryjne oraz na poznanie miasta i jego atrakcyjnych okolic. Co powinno być tematem takich zajęć rozwijających kulturę umysłową, aby adeptom sztuki inżynierskiej ułatwić ocenę własnej zdatości do studiowania wybranej dyscypliny? Jak przeprowadzać - na tak masową skalę - wstępne nauczanie studiowania na ogół niedostatecznie zorientowanym maturzystom? Są to zadania dla stałego gremium Metodologii Nauczania Dyscyplin Technicznych, działającego permanentnie przy Zakładzie Pedagogiki Uczelni Technicznej. Tylko że Politechnika dotychczas nie wypracowała takiej formy usług metodycznych, i to nas różni od renomowanych uczelni kręgu cywilizacji euro-amerykańskiej. A szkoda!

Sadzę, że rolę wiodącą w takich poczynaniach mógłby objąć Wydział Zarządzania i Ekonomii ze względu na profil swoich zainteresowań. Jako konsultanta tego problemu ośmielam się wymienić - znaną z aranżacji świetnych publikacji studenckich (patrz "Pismo PG") - p. Ewę Hope, dla której żywie szczególne uznanie i szacunek.

Mam wciąż jeszcze nadzieję (oby nie płonną), że mój uparty monolog przekształci się jednak w dialog, który - jako żywo - stanowi istotę sporu. Oczekuję więc rezonansu na łamach "Pisma PG", aby piętzącego się problemu "nie stawiać w zwłocze".

*Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny*

Ocena pracowników (i nie tylko ich) jako problem etyczny

Wstęp

Problemy etyczne w biznesie dotyczą nie tylko postawy i zachowań firmy wobec otoczenia (konsumentów, innych firm, środowiska naturalnego itd.), ale również wobec własnych pracowników. Jednym z zagadnień w tej kwestii jest ocena współpracowników i podwładnych. Problem właściwej oceny nie tylko pracowników, ale każdego człowieka, z którym się spotkamy, jest dla nas niezwykle trudny. Istnieje co prawda wielu ludzi, którym ocena innych przychodzi bardzo łatwo, nie jest ona jednak w moim przekonaniu zawsze słuszna, obiektywna i etyczna. W życiu zbyt często kierujemy się wieloma uprzedzeniami, stereotypami i subiektywnymi odczuciami, co utrudnia nam prawidłową ocenę człowieka, sytuacji czy zdarzenia. Mimo to jesteśmy skłonni do oceny, wyrażenia opinii o drugim człowieku, o jego zachowaniu w ogóle czy w danej chwili, bez względu na to, w jakim stopniu znamy tę osobę albo sytuację, w której ją oceniamy. Taka jest już nasza natura i prawdziwym darem jest umiejętność sprawiedliwej oceny. Powstaje zatem pytanie: czy w takim razie warto podejmować się jakiegokolwiek oceny?

W tym eseju głównym tematem jest problem etyczny oceny pracowników. Jednak w moim odczuciu zagadnienie to można potraktować znacznie szerzej, szczególnie jeśli chodzi o podmiot oceny. Jeżeli przyjmiemy, że pracownik jest nie tylko partnerem zawodowym w pracy, ale jednocześnie jednostką mającą charakterystyczną dla siebie osobowość, przekonania i poglądy, to nasza ocena powinna raczej odnosić się do człowieka takiego jakim jest, a nie tylko w relacji pracodawca - pracownik. Nie ukrywam, że właśnie ten ostatni aspekt jest bardzo ważny w każdej nowoczesnej firmie, ale łatwiej będzie do niego poprzez rozpatrzenie przyczyn, jakie kierują nami przy ocenianiu każdego człowieka, i konsekwencji samej oceny. Stąd w tytule dopisek w nawiasie.

Dlaczego oceniamy

Oceniając innych, często sami mamy coś na swoim sumieniu. Zrzucamy ciężar swoich błędów na osobę ocenianą. Uważamy, że w ten sposób oczyścimy siebie i będziemy wolni od winy. Oto przykład z życia małżeństwa: Mąż wraca z pracy i już od progu krzyczy na żonę, że nie zrobiła obiadu na czas (w podtekście ocenia ją jako niesumiennej małżonkę). W rzeczywistości dzień wcześniej sam poinformował żonę, że ma jutro ważne zebranie z zagranicznym dostawcą i wróci późno. Niestety, poważne niedopatrzenie z jego strony zniechęciło kontrahenta, który zerwał współpracę z firmą i do spotkania nie doszło. Mąż swoją złość wyładował na bliskiej mu osobie, która została przez niego oceniona pochopnie i niesłusznie. Wystarczyło tylko zacząć od siebie, najpierw spróbować ocenić swoje postępowanie. Może wtedy łatwiej byłoby pogodzić się z porażką, a nie obarczać nią żonę. Powinniśmy nauczyć się oddzielać problemy i błędy dotyczące nas samych i nie winać za nie innych.

Inną przyczyną oceny innych jest świadomość, że oni też nas oceniają. Istota ludzka jest tak ukształtowana, że ulega wpływom otoczenia. Oczywiście każdy z nas odbiera bodźce z zewnątrz w inny sposób i w różnym stopniu dostosowuje się do nich. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w towarzystwie, które dyskutuje o poważnych problemach ochrony środowiska. Uczestnicząc w rozmowie, przedstawiamy swoje argumenty w sposób rozważny i przemyślany, chcąc wpłynąć na opinie rozmówców. Staramy się dokładnie dobierać słowa, tak aby być

postrzeganym jako ktoś kto zna problem (niekoniecznie jako autorytet czy ekspert). Dostosowujemy się do sytuacji. Sama często odnoszę takie wrażenie. W zależności od tego, czy rozmawiam z koleżanką czy profesorem staram się dopasować do stylu rozmówcy. Zmniejsza to moim zdaniem dystans i daje wiele korzyści w postaci łatwiejszego nawiązania kontaktu, szybszego porozumienia, wyciągnięcia wniosków itp. Jeżeli dostrzegamy wspólne cechy z rozmówcą, identyfikujemy się z jego sposobem prowadzenia rozmowy, nie odczuwamy zdenerwowania, skrępowania. Pozornie takie zachowanie może nie mieć nic wspólnego z oceną, ale w gruncie rzeczy ma więcej, niż się możemy spodziewać. Jest bardzo prawdopodobne, że jeśli my ocenimy naszego rozmówcę pozytywnie, to on również będzie korzystnie odbierał nasze zachowanie. Zasada ta dotyczy nie tylko prowadzonych rozmów, ale każdej sytuacji, w jakiej możemy znaleźć się w życiu. Dobre nastawienie jest połową sukcesu. Musimy mieć świadomość, że przez cały czas my również jesteśmy oceniani. Dlatego tak ważne jest, żeby móc nauczyć się oceny obiektywnej i sprawiedliwej, w przeciwnym razie inni mogą wystawić nam ocenę, która wcale nie musi być taka, jaką chcielibyśmy usłyszeć. Bądźmy więc powściągliwi w ocenie, a jest szansa, że inni też będą nas oceniać z umiarem i rozważnie.

Można również powiedzieć, że oceniamy, bo chcemy dominować. Ludzie przypisują sobie prawo wyrażania opinii o drugim człowieku, nie biorąc pod uwagę faktu, że praktycznie go nie znają lub znają, ale tylko w niewielkim stopniu. Ich ocena ma swoje podłoże w chęci władzy i dominacji. Oceniając kogoś, jesteśmy niejako na wyższej pozycji, wydajemy "wyrok" w postaci oceny nacechowanej własnymi negatywnymi odczuciami, na przykład: "Nie podoba mi się, że po raz kolejny źle wykonałeś powierzone Tobie zadanie." Osoba, której dotyczy taka wypowiedź, jest w gorszym położeniu, a ten, kto ją wypowiada, staje się w pewnym sensie "sędzią". Ważny jest tutaj poziom, z którego oceniamy. Starajmy się oceniać nie z poziomu "Ty", np. "Spóźniłeś się", ale z poziomu opinii, np. "Czekałam na Ciebie". Zgodnie z tą zasadą, wspomniany wcześniej osąd powinien brzmieć: "Wierzyłam, że tym razem uda się Tobie to zrobić" i być wypowiedziany ze spokojem. Z pewnością samopoczucie ocenianej osoby będzie tym razem o wiele lepsze niż po wysłuchaniu poprzedniej wypowiedzi na jej temat. Nikt z nas nie lubi być krytykowany, ale niemal wszyscy krytykujemy. Powinniśmy unikać negatywnych, bezpośrednich wypowiedzi osądzących drugiego człowieka, mimo iż taka postawa stawia nas na pozycji dominującej, co sprawia, że czujemy się ważni. Jednak gdy głębiej się zastanowimy nad daną sytuacją, o wiele więcej satysfakcji i późniejszych korzyści przyniesie nam spokojna i sprawiedliwa ocena. Osoby potrafiące rzeczowo i obiektywnie oceniać są dobrze postrzegane i szanowane. Nie będziemy urażeni, gdy ktoś spokojnie i z poziomu opinii przedstawi nam swoje zdanie o nas. Umiejętność ta jest niezwykle trudna i potrzeba wiele wysiłku, aby móc wyrażać swoją opinię w taki sposób, by nie urazić jej adresata.

Ważną rolę w problemie oceniania innych odgrywamy my sami. Poruszę tutaj mniej znany aspekt oddziaływania naszej podświadomości. Ciekawy pogląd na ten temat prezentuje Joseph Murphy w swojej książce "Magia wiary" (*Wydawnictwo "Świat Książki", Warszawa 1997, str. 37-38.*). Uważa on, że wszystko, czego doświadczamy w życiu, jak się zachowujemy, na co chorujemy itp., zależy od tego, co wpisujemy do swojej

podświadomości poprzez myśli. Podaje na to przykład: "Pewna kobieta miała bardzo wysokie ciśnienie krwi i potworne ataki migreny. Przyczyną tych dolegliwości była jej destrukcyjna mowa wewnętrzna. Wydawało jej się, że koleżanka nie traktuje jej dobrze i nastawiła się do niej negatywnie. Usprawiedliwiała swą nienawiść i wrogość do tej osoby i pozwalała tej sytuacji ciągnąć się tygodniami, a sama pogrążała się emocjonalnie coraz bardziej. (...) (po jakimś czasie przyp. AP.) Kobieta ta zaczęła przestrzegać zasad duchowej mowy wewnętrznej. Zrozumiała, że sama siebie zatruwała, jak również to, że koleżanka nie była odpowiedzialna za to, co ona do niej czuła i jak o niej myślała." Autor twierdzi, że "każdy sam buduje swój wszechświat" i zadaje jednocześnie pytanie: "Jak odnosi się twój umysł do ludzi?" Umieściłam cytat z tej książki przy okazji omawiania zagadnienia oceny drugiego człowieka, ponieważ jestem ostatnio pod wrażeniem tej książki i staram się dopasować spostrzeżenia jej autora do realiów życia. Według mnie jest w tym wszystkim dużo prawdy i chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy, sami w pewnej mierze (wg Murphy'ego: w pełni) kształtujemy naszą przyszłość. To samo dotyczy oceny innych. Podświadomie możemy ich postrzegać w całkiem odmiennym świetle - niekoniecznie jasnym - niż to jest w rzeczywistości (jak w podanym przykładzie). Czując do kogoś wewnętrzne antypatie nie jesteśmy zdolni ocenić go prawidłowo i obiektywnie. Często więc oceniamy błędnie, raniąc w ten sposób drugiego człowieka. Zgodnie z radą Josepha Murph'ego powinniśmy wpisywać w swoją świadomość tylko pozytywne oceny, nastawiać się do ludzi przyjaźnie, a podświadomość podsunie nam odpowiednie wskazówki, jak się zachować, aby nie urazić kogoś. Z drugiej strony można powiedzieć, że to podejście jest bardzo idealistyczne. Bowiem jak wmawiać sobie, że ktoś nie popełnił błędu, jeżeli to nieprawda lub tylko chwalić czyjeś postępowanie, bez względu na jego słuszność. Moim zdaniem sedno sprawy leży gdzie indziej. Chodzi o to, aby w momencie oceny (szczególnie tej strofującej) nastawić się do ocenianego pozytywnie, nie widzieć w nim tylko winnego czy partacza, któremu nic się nie udaje, ale człowieka posiadającego prawo do błędów, innych poglądów, priorytetów. Taka postawa umożliwi bardziej rzeczowe wyrażenie naszych zastrzeżeń, które powinny być wówczas odebrane bardziej jako porada, wskazówka niż jako nagana czy upomnienie.

Ocena pracowników

Przełożeni oceniają swoich pracowników, aby móc sprawnie zarządzać organizacją. Każda ocena podwładnego jest jednocześnie przejawem zainteresowania postępowaniem w wykonywaniu przez niego zadań. Prawidłowa ocena usprawnia współdziałanie i sprzyja rozwojowi zarówno pracownika, jak i całej firmy. Z drugiej strony, jeżeli będzie ona niesłuszna i nacechowana osobistymi uprzedzeniami - jej wpływ będzie destrukcyjny. Jednakże całkowite zaniechanie oceny może świadczyć o braku zaangażowania w sprawy przedsiębiorstwa i jego pracowników.

W literaturze możemy spotkać wiele wskazówek dotyczących oceniania pracowników i sposobów samej oceny.

James Stoner ("*Kierowanie*", *PWE*, Warszawa 1994, str. 297) rozróżnia dwa sposoby oceny efektywności jako "ciągłego procesu informowania podwładnych o tym, jak dobrze pracują na rzecz organizacji" - systematyczny i nieformalny. Ten drugi oznacza codzienną ocenę pracownika poprzez spontaniczne stwierdzenia szefa odnośnie do wykonywanej pracy. Możliwe są też wizyty podwładnych w gabinecie kierownika w celu uzyskania opinii na temat zrealizowanych zadań. Natomiast

ocena systematyczna ma charakter formalny i jest przeprowadzana co jakiś czas (pół roku, rok). Ocena taka:

1. "informuje pracowników o tym, jak jest oceniana ich bieżąca efektywność;
2. wyróżnia tych, którzy zasługują na podwyżki płac;
3. kwalifikuje pracowników do dodatkowego szkolenia;
4. odgrywa dużą rolę w wyszukiwaniu pracowników - kandydatów do awansu."

Należy jednocześnie pamiętać o tym, że ocena pracownika na danym stanowisku nie powinna w sposób znaczący wpływać na jego ocenę po awansie. Ktoś może być bowiem dobry jako samodzielny referent, ale niekoniecznie jako kierownik.

Ciekawe spostrzeżenia na temat prowadzenia formalnych rozmów ewaluacyjnych (oceniających) przedstawiła w jednym ze swoich artykułów Joanna Wasieła.

Kilka dni przed rozmową pracownik otrzymuje pisemną ocenę swojej działalności. Jest to ocena proponowana, do której ma prawo się ustosunkować i wyjaśnić ewentualne nieporozumienia. Inaczej ocenia się pracownika niższego szczebla, w przypadku którego "przedmiot analizy stanowi sposób, w jaki radzi on sobie z powierzonymi mu czynnościami (tempo pracy, solidność jej wykonania, jakość kontaktu z klientem...)", a inaczej kadrę zarządzającą, która oceniana jest "według osiągniętych dla firmy konkretnych rezultatów (zwiększenie rentowności, poprawienie stopnia motywacji załogi, czy zmniejszenie odrzutów z produkcji)."

Kiedy już dojdzie do spotkania oceniającego, warto znać kilka reguł jego prowadzenia. Oto one:

- oceną powinni być objęci wszyscy pracownicy, bez względu na stanowisko;
- należy szanować pracownika, także jego czas - na spotkanie przeznaczamy tyle czasu, by móc bez pośpiechu przeprowadzić rozmowę;
- spotkanie powinno umożliwić pracownikowi wyciągnięcie wniosków i rad na przyszłość;
- nie należy opierać się na plotkach czy faktach, które nie zostały sprawdzone;
- ganiąc za błędy, chwalmy za sukcesy (pochwały są bardzo silnym czynnikiem motywacyjnym);
- oceniając, nie powinno się brać pod uwagę wyglądu ocenianego, jego cech charakteru, poglądów, wyznania itp.
- nie należy oceniać przez pryzmat wymagań stawianych sobie, można wtedy łatwo wpaść w pułapkę błędnej projekcji - ktoś będzie lepszy od innych, jeśli będzie posiadać cechy przełożonego.

Dobrze przeprowadzona rozmowa oceniająca skłoni pracownika do wypowiedzenia swoich zastrzeżeń, wyrażenia oczekiwań i opinii na temat wykonywanych prac. Pozwoli to przełożonemu lepiej współpracować z podwładnym, wyznaczyć jego ścieżkę kariery (rozwoju), skorygować ewentualne niedociągnięcia organizacyjne itp.

Jak ocenia się pracowników w firmach?

W AMRO BANKU rozmowy oceniające przeprowadza się co roku, w październiku. "Od ich wyniku zależą bonusy, podwyżki czy nowe stanowiska, na które pracownicy mogą przejść od stycznia następnego roku. (...) Spotkania z osobami zatrudnionymi na okres próbny odbywają się co miesiąc. Po trzech miesiącach jest rozmowa podsumowująca, podczas której wytycza się każdemu zatrudnionemu jego własną ścieżkę rozwoju i indywidualne cele." Ocenia się każdego pracownika bez względu na zajmowane stanowisko. Podczas oceny obecny jest sam zainteresowany i tylko w przypadkach problematycznych również specjalista od human resources. Sama rozmowa

jest bardzo zaskakująca dla pracownika, ponieważ padają w trakcie jej trwania pytania o osobowość, samoocenę jako człowieka itp. "Żeby rozładować napięcie, stworzyć przyjazną atmosferę, rozmowę w AMRO zaczyna się zwykle od jakiegoś dowcipu. Później mówi się o silnych i słabych stronach pracownika, jego komunikacji z kolegami, przełożonymi i podwładnymi, co przekłada się na komunikację z klientem. (...) Celem spotkania jest porównanie jego obecnych zajęć z przyszłymi, określenie planów szkoleniowych. Rozmowa ma formę negocjacji. Jeśli ktoś nie umie sprzedać siebie, to nie będzie umiał sprzedać wyrobów firmy." Kończy się ona podpisaniem przez obie strony formularza o charakterze swego rodzaju kontraktu zawierającego oceny i wnioski.

UNILEVER POLSKA ocenia swoich pracowników pod koniec roku, na przełomie listopada i grudnia. Stosuje się tu różne typy rozmów ewaluacyjnych w zależności od zajmowanego przez pracownika stanowiska:

- ♦ pracownicy fabryki oceniani są, w formie krótkiego podsumowania, za solidność, punktualność, wykonanie pracy na czas;
- ♦ "kadrę niemenedżerską" ocenia się, podczas krótkiej rozmowy o charakterze dialogu, za kreatywność, sposób wykonania planu, umiejętność radzenia sobie w złożonej sytuacji i motywowania podwładnych, zarządzanie ludźmi;
- ♦ przedstawiciele wyższej kadry menedżerskiej ocenia się dodatkowo za osiągnięcie stawianych im przed rokiem celów. Rozmowy mają charakter dyskusyjny - pracownik może wtedy zorientować się, na jakim etapie swojej kariery się znajduje.

W UNILEVER POLSKA kładzie się nacisk na to, by rozmowa nie była monologiem szefa, ale pozwalała wypowiedzieć się także ocenianemu pracownikowi. Każda rozmowa kończy się sprecyzowaniem celów odnośnie do rozwoju danej osoby i sposobów ich osiągnięcia (szkolenia, warsztaty itp.).

Do wprowadzenia nowoczesnego systemu ocen przygotowuje się firma BIPROHUT ze Śląska, dla kierownictwa której podstawowym potencjałem jest kadra pracownicza i jej rozwój. Opracowano już formularze z zestawami pytań związanymi z wykształceniem, zdolnościami, samodzielnością, znajomości-

cią technik komputerowych... Następnie odpowiedzi zostaną przeliczone na punkty. Osoby z największą ich liczbą mogą liczyć na awans i podwyżki ponad poziom inflacji. W założeniach system ten ma zapewnić bieżącą kontrolę postępów pracowników i promowanie najlepszych. Nawet związki zawodowe są przychylnie podjętej inicjatywie. Wysunęły wniosek o możliwość reprezentacji pracownika w przypadku odwołania od oceny, jeżeli ten sobie tego zażyczy.

Jak widać z opisanych przykładów problem oceny pracowników nie jest obcy kierownictwu firm, które dostrzega korzyści z prowadzenia rozmów oceniających. Kwestią dyskusyjną jest jednak kontekst moralny tych rozmów, nie zawsze przeprowadzanych zgodnie z przyjętymi zasadami etycznymi.

Podsumowanie

Kończąc moje rozważania na temat problemu oceny pracowników z punktu widzenia etyki, chciałabym podkreślić, że nasza opinia, jeżeli jest przemyślana, obiektywna, sprawiedliwa i nie narusza norm etycznych, może być bardzo użyteczna dla podwładnego i wskazywać mu:

- drogi rozwoju,
- obszary wiedzy, które powinien doskonalić,
- umiejętności, które już posiadał w sposób zadowalający (pamiętajmy, że rutyna jest jednym z najgorszych wrogów),
- możliwości awansu,
- zadania stojące przed firmą i jego udział w ich realizacji itp.

Dlatego też warto oceniać pracowników. Oceniajmy jednak z rozwagą i umiarem, przestrzegając norm etycznych. Postawmy się w sytuacji ocenianego i spróbujmy tak przekazywać nasze uwagi (i pochwały), aby zostały one odebrane właściwie. Nie przesadzajmy w ocenie i nie popadajmy w skrajności - to może zniszczyć nasze dobre stosunki z pracownikami. Sprawiedliwa i dobrze przekazana ocena jest potrzebna w każdym środowisku społecznym, nie tylko w firmie - wiemy wówczas, że ktoś liczy się z naszą osobą, znamy jego oczekiwania i próbujemy im sprostać.

Aleksandra Pranczk

Studentka Wydziału Zarządzania i Ekonomii

Seminarium polsko-duńskie, poświęcone odnawialnym źródłom energii

W dniach 26-29 listopada 1998 r. odbyło się piąte z kolei seminarium polsko-duńskie, poświęcone odnawialnym źródłom energii, a finansowane przez Komitet Badań Naukowych. Ze strony polskiej organizatorem była Katedra Inżynierii Sanitarnej Politechniki Gdańskiej we współpracy z Urzędem Wojewódzkim w Gdańsku, ze strony duńskiej - Uniwersytet w Roskilde oraz władze regionu Storstroem. Tematem obrad były nowe technologie i wdrożenia dotyczące energetycznego wykorzystania drewna, słomy, osadów ściekowych i biogazu. W seminarium obok kilkudziesięciu polskich specjalistów udział wzięło kilkunastu przedstawicieli Danii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Estonii i Litwy. Seminarium odbyło się w Ośrodku Edukacji Ekologicznej Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Starbieniu (koło Jeziora Żarnowieckiego), gdzie demonstrowane były m.in. duńskie kolektory słoneczne, turbina wiatrowa i kotłownia na drewno.

W ostatnich dwóch latach obserwuje się w Polsce burzliwy rozwój kotłowni opalanych drewnem odpadowym, wiejskich kotłowni opalanych słomą czy elektrociepłowni napędzanych biogazem z wysypisk śmieci i z oczyszczalni ścieków. W Polsce pracuje już ponad 20 000 kotłów na drewno, ponad 100 kotłów na słomę i kilkadziesiąt agregatów prądotwórczych napędzanych biogazem. W czasie seminarium można było zapoznać się z przykładową kotłownią na drewno w Wejherowie, kotłem do spalania osadów ściekowych w Gdyni-Dębogórze i elektrownią na biogaz na wysypisku śmieci w Szadółkach (gmina Gdańsk). Udział w seminarium wzięli przedstawiciele gmin, zainteresowani podjęciem współpracy z Danią w dziedzinie gminnych planów zaopatrzenia w ciepło m.in. z Rumi, Bytowa, Lęborka, Sztumu. Motorem napędowym zainteresowania nowymi źródłami energii jest fakt, że energia cieplna ze słomy, drewna czy biogazu jest kilkakrotnie tańsza niż z węgla, przy równocześnie dużo niższych zanieczyszczeniach do powietrza atmosferycznego.

Piotr Kowalik

Wydział Inżynierii Środowiska

Harmonia teorii i praktyki we współczesnej pedagogice architektonicznej (cd.)

Powstaje pytanie: jak kształcać nasze uczelnie? Przedstawiam opinie architekta Czesława Bieleckiego: (Cytuję: T. Jastrun "Architektów kłopoty z wolnością, wywiad z Czesławem Bieleckim", ARCHITEKTURA 1994, nr 1, s. 26) "Nasze uczelnie są niezłe, ale tylko tam, gdzie naucza się elementarnego rzemiosła zawodowego. Zarazem, od co najmniej dziesięcioleci uprawiają one 'pranie mózgu' adepta architektury, (...) ucząc tzw. praktycznych formulek i chwytów. Nie dają intelektualnego zaplecza, które zmiennie i chwiejnie, ale wciąż zasila zachodnią architekturę. Tam architekci wiedzą, dlaczego rysują pewne formy. To wyrasta nie tylko z mód, ale z pewnych trendów myślowych (...)" My "i teraz naklejamy kopie na szkielet myślowy, który pozostaje niezmienny. Dlatego wszyscy, którzy protestują przeciw obecności inwestorów w Polsce, twierdząc, że to co nam się proponuje, to kosmopolityczne sztance, zapominają, że jeszcze gorszą rzeczą jest polska replika kosmopolitycznej sztancy! Oto ci, co tak zażarcie bronią rodzimych tradycji naszej architektury, nie chcą wiedzieć, że już dawno wytrzebiłno indywidualność i charakter w polskiej architekturze. A wielkie zasługi mają tu niestety nasze uczelnie".

Arch. Krzysztof Chwalibóg zwrócił natomiast uwagę na inny aspekt omawianego zagadnienia (w: K. Sołducha "Dyrygentów pełna izba". Rozmowa z Krzysztofem Chwalibogiem - prezesem Stowarzyszenia Architektów Polskich. MAGAZYN BUDOWLANÝ, 1997, nr 3, s. 10). "Jeżeli chodzi o techniczne aspekty projektowania, to najważniejsza wydaje się jednak praktyka. Oczywiście niezwykle ważne jest wyrobienie u adeptów nawyku stałego samokształcenia, co pozwala na utrzymanie kontaktu z szybko zmieniającymi się realiami rynkowymi. (...) Wiem, że niektóre z istniejących szkół znacznie powiększyły nabór. Słyszałem nawet o 200 studentach na roku. Powinno to pozwolić na roczne wypuszczenie na rynek około tysiąca osób wykształconych w tej dziedzinie. (...) (To liczba całkowicie dostosowana do aktualnych potrzeb rynkowych)." Zadaniem architekta, "jest równoległe działanie w kilku kierunkach. Z własnej praktyki wiem" - stwierdza K. Chwalibóg - "że nie należy zastępować poszczególnych branżystów. Próbuje zwykle

z nimi dyskutować o sprawach, w których jestem w stanie coś zaproponować, jednak absolutnie bez przekonania, że muszę mieć rację. Takie partnerstwo jest niezbędne w projektowaniu".

Autorom przedstawionych wyżej opinii, kierującym się niewątpliwie słuszną troską o losy przyszłych architektów, nie udało się, jak sądzę, uniknąć pewnej jednostronności w ocenie stanu dzisiejszej edukacji architektonicznej (mam na myśli w szczególności wypowiedź pierwszą). Głosy krytyki, niewątpliwie do pewnego stopnia uzasadnione, nie powinny przysłonić drobnych, ale przecież pozytywnych dokonań w dydaktyce, jakimi są na pewno próby modyfikowania kształcenia architektów, i wysiłków, aby jednak odtworzyć ważniejsze od mody i zniewolenia dyktatem "biedy pozorowanej" zapotrzebowanie na wysiłek intelektualny, na wspomnianą już przeze mnie przysłowiową "burzę mózgow". Aby udowodnić mój pogląd, przedstawię teraz przykłady z praktyki Katedry Architektury Morskiej i Przemysłowej Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Istotne w praktyce naszej Katedry jest to, że przez cały okres jej działalności nieprzerwanie dbano o ścisły kontakt studenta z zawodową praktyką, np. w formie wykładów fakultatywnych, prowadzonych przez zaproszonych wykładowców, m.in. wykłady z fizyki budowli prowadzone przez prof. Prochaskę - architekta, oraz wykłady z architektury okrętowej prof. Urbanowicza. Wszystkie projekty dyplomowe i specjalistyczne opracowywano opierając się na niezbędnych do uzyskania zaliczenia konsultacjach specjalistycznych z Katedry Techniki Budowlanej. Na latach I, II i III - konsultacje nie miały miejsca. Ostatecznie układ ten uległ zmianie na korzyść przedmiotów technicznych. Dotyczy to głównie projektów dyplomowych, z których każdy jest dobierany indywidualnie przez prowadzących i absolwentów. Liczba godzin poświęconych na konsultacje z urbanistami, konstruktorami i akustykami: 2 godziny na tydzień. To samo dotyczy projektów konkursowych.

Tematyka prac projektowych w układzie tabelarycznym uzasadnia opisane już uprzednio przyjęcie zasady bezwzględnej konieczności korzystania - średnio 25 %, jeśli wartość czasu potrzebnego na przygotowanie projektu ujmijemy w procentach (15 tygodni - co dwa tygodnie konsultacje) - ze współpracy

Koledzy z Katedry Architektury Morskiej i Przemysłowej Wydziału Architektury PG - od lewej architektki: Andrzej Tyszkiewicz, Henryk Pracz, Zbigniew Czekanowski, Elżbieta Ratajczyk-Piątkowska, Marek Gawdzik i Krystyna Pokrzywnicka, od lat starają się utrzymać skuteczną dydaktycznie harmonię teorii i praktyki w nauczaniu projektowania architektonicznego (zdjęcie z 1993 r.)



z przedmiotami technicznymi, jak budownictwo, mechanika, materiałoznawstwo, fizyka budowli, budownictwo lądowe i wodne, akustyka.

Oferowana tematyka obiektów o specjalnym przeznaczeniu obejmowała:

- budowle i zespoły przemysłowo - produkcyjne w różnych skalach; od niewielkich obiektów rzemieślniczych do dużych wielofunkcyjnych obiektów przemysłowych;
- architekturę obiektów charakterystycznych dla miast portowych, jak przystanie żeglugi, dworce promowe, bosmanaty i kapitanaty portów, centralne zaopatrzenia statków, obsługa rybołówstwa i inne;
- architekturę okrętów o dużym stopniu skomplikowania, od tramwaju wodnego do dużych statków towarowych, wycieczkowych i rybackich;
- projektowanie wnętrz okrętowych i lądowych;
- rewitalizację dziewiętnastowiecznych obiektów przemysłowych, składowych i innych;
- obiekty sportowe i związane z rekreacją, jak pływalnie, hale sportowe wielofunkcyjne i specjalistyczne, sporty wodne itp.;
- obiekty ze szczególnym nasileniem elementów małej architektury;
- obiekty tzw. "high tech" i o specjalnie kształtowanych elewacjach.

Ciekawy był system prowadzenia zajęć na semestrze siódmym i ósmym. Studenci wykonywali w semestrze aż trzy projekty. Na opracowanie każdego z projektów przeznaczone były cztery tygodnie i jeden tydzień na jego prezentację. Za każdy projekt można było uzyskać maksymalnie 33 punkty, jeżeli wszystkie elementy uzyskają notę najwyższą. W przypadku trzech projektów największa liczba punktów wynosić będzie 99.

Punktowane były następujące elementy:

za aktywne uczestniczenie w programowych zajęciach (kontakt z prowadzącym) za każdy tydzień pracy nad projektem - punkt;

za prezentację projektu ocenioną na:

celujący	bardzo dobry	ponad dobry	dobry	dość dobry	dostateczny	niedostateczny
6	5	4	3	2	1	0

za koncepcję architektoniczną:

celujący	bardzo dobry	ponad dobry	dobry	dość dobry	dostateczny	niedostateczny
10	9	8	7	6	5	0

za opracowanie funkcjonalne:

celujący	bardzo dobry	ponad dobry	dobry	dość dobry	dostateczny	niedostateczny
6	5	4	3	2	1	0

za opracowanie graficzne i zasady detali:

celujący	bardzo dobry	ponad dobry	dobry	dość dobry	dostateczny	niedostateczny
3	2	1	0	0	0	0

Tak uzyskane punkty sumuje się na końcu semestru celem wyliczenia oceny semestralnej, wpisywanej do indeksu.

Skala ocen stosowanych za pracę w całym semestrze jest następująca:

celująco	(5,5)	91 - 99
bardzo dobrze	(5)	81 - 90
ponad dobrze	(4,5)	71 - 80
dobrze	(4,5)	61 - 70
dość dobrze	(3,5)	51 - 60
dostatecznie	(3)	45 - 50
niedostatecznie	(2)	poniżej 45



W zakończeniu podaje propozycje własne dotyczące "rytmu" dydaktyki architektury:

- edukacja inżynierska w stopniu dostosowanym do możliwości percepcyjnych ucznia na pierwszych dwóch latach studiów powinna być prowadzona w następującym wymiarze godzinowym: na 15 tygodni - 30 spotkań, z których dziesięć musi być zarezerwowane na naukę konstrukcji;
- środkowe lata studiów (II, III rok - aż do czwartego), szczególnie semestry IV, V, VI - muszą być przeznaczone na naukę architektonicznego rzemiosła, młody adept architektury musi oswoić się praktyką prowadzenia partnerskich w swym założeniu rozmów z konstruktorem; inną niezwykle ważną sprawą jest wykształcenie umiejętności łączenia detalu z konturem, poza tym kontakt z katalogami firm (oczywiście z uwzględnieniem zasygnalizowanych wyżej uwag), udział w seminariach;
- semestry IX i X - okres przygotowania do pracy dyplomowej; student ma możliwość wykonania ofertowego projektu własnego - rozpoczęcie kompletowania własnego dossier.

Omówienie zadań stojących przed nauczycielami przedmiotów technicznych w ramach edukacji architektonicznej

Jest poważnym zadaniem i obowiązkiem nauczycieli akademickich mądrze gospodarować talentami młodzieży. Moim zdaniem należy to ująć krótko: mądrze gospodarować, to znaczy wykorzystywać potencjał fantazji, chęć pracy twórczej, potencjał twórczości tkwiący w studencie, chęć do myślenia otwartego na nowe prądy. Tu potrzebne są dwa bieguny, jednakowo zaangażowane w budowanie modelu zmiennie uniwersalnego, a mianowicie: kompetentni wykładowcy i samodzielni studenci.

Uczenie odpowiedniej twórczości, to antidotum na zaleganie na wydziałach architektury tzw. "stanów pośrednich". Należy

im przeciwdziałać! Jak? Poprzez tworzenie relacji mistrz-uczeń, organizowanie warsztatów i konkursów.

O korzyściach płynących z "bakterii konkursu"

Inną pozytywną nowością ostatnich pięciu lat 1992-97 jest złapanie bakterii konkursów architektonicznych, w których mogą brać udział studenci już od VI semestru III roku. Oprócz ciekawych tematów i zagwarantowanych przez sponsorów nagród dla uczestników (niebagatelne przy kierowaniu studenta!) przede wszystkim studenci uczą się poszukiwania optymalnego wyrazu swoich idei designerskich samodzielnie (lub w grupach danej grupy twórczej). Samodzielność wymaga w tym wypadku umiejętności:

- korzystania z wszelkiej dostępnej literatury tematu,
- nawiązania współpracy z "inwestorem" (sponsorem),
- zapoznania się z dyskusją z konstruktorem, akustykiem, inżynierem drogowcem,
- ochrony własnego stanowiska jako projektanta architektury z uwzględnieniem technologii,
- doprowadzenia przedsięwzięcia projektowego do finału - efekt oczywisty, to przyspieszony samorozwój studenta i jego satysfakcja osobista,
- rywalizacji, nakierowanie wiary we własne możliwości,
- wzbudzenia wiary we własne możliwości, a przede wszystkim
- nakierowanie jednostki na "działanie myślące i odpowiedzialne".

Dla dydaktyków parających się projektowaniem jest też jasne i oczywiste, że wysiłek grupy asystentów prowadzących temat, entuzjazm i dyspozycyjność, poświęcanie dodatkowego czasu na długie dyskusje, zapał i rzeczywista wiedza - przynoszą efekt w postaci **wygranej!**

Model osobowościowy i zawodowy absolwenta

Kto potrafi stworzyć program gwarantujący ukształtowanie absolwenta według modelu poszukiwanej postawy, zakładając, że utalentowani są wszyscy?

Model zawodowy:

- ciekawość,
- kreatywność,
- ciekawość kreacji,
- ciekawość zawodowa,

- "rdzeń architektoniczny" - profil myślenia.

Model osobowościowy:

- wytrwały,
- komunikatywny,
- nie boi się nowych zadań,
- szuka sam,
- samodzielnie oceniający siebie i współpracowników,
- przygotowany do współpracy z branżystami.

Wnioski

Rola teorii w czasie studiów architektonicznych

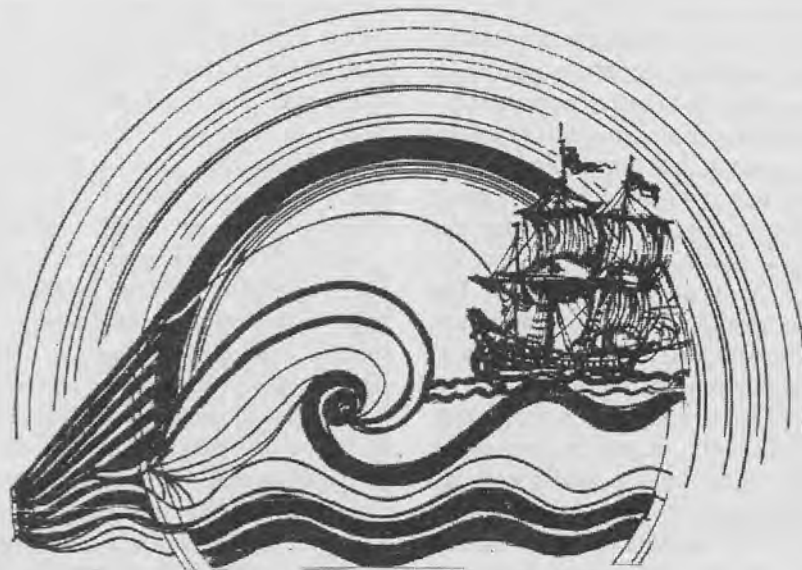
- Rola teorii architektonicznej w procesie studiowania architektury jest stale aktualna. Porządkuje ona pojęcia wśród natłoku dzisiejszych "nowinek" informacji - reklamy, zalewu nieistotnych danych.
- Wiedza rzeczywista zależy wprost od pracy samodzielnej. Początek samodzielny architekta bierze się z ćwiczeń myślenia o budowie.
- Konieczność stałego ustalania właściwych teorii w postaci wykładów, warsztatów prac kół naukowych w toku nauczania zawodu architekta.
- Problem teorii architektonicznej i jej percepcja zależy od indywidualnego wysiłku uczących, tzn. nauczycieli akademickich, a także studentów.
- Istnieje konieczność stałego ustalania właściwych proporcji teorii; w postaci wykładów, wycieczek, plenerów, praktyki w postaci ćwiczeń przy desce, w terminie i we wspólnych pracowniach.

Reasumując: dzisiejszy model architekta to dobrze przygotowany do zawodu teoretycznie praktyk (w zawodzie sam stara się odróżnić rzeczy istotne od namiastek - nie zadawała się namiastką kreacji, nie jest bezkrytyczny wobec interwencji reklamy i "internetowej" nachalności).

Dalszą teorią architektury zajmowali się dobrzy projektanci inżynierowie, wykonawcy, znający naukę ze swych dokonań.

Racje teoretyczne nie są więc głośne. Koło się zamyka: dobrze przygotowany architekt ma rzetelne uprawnienia zawodowe, dobrze przygotowany praktyk może tworzyć i interpretować naszą architekturę.

Krystyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury



Architektura okrętu, jako dyscyplina naukowa odradza się obecnie na Wydziale Architektury PG w Katedrze Architektury Morskiej i Przemysłowej kierowanej przez prof. Marię Stawicką-Wałkowską

Kilka słów na temat Ośrodka Hydromechaniki Okrętu CTO w Oliwie (cd.)

Jak już wspominałem, w latach 1961-1963 pełniłem obowiązki generalnego projektanta inwestycji oraz technologa projektu, a będąc jednocześnie pracownikiem CBKO nr 1 i "Prozamet", byłem - choć nieformalnie - przedstawicielem inwestora w biurze projektów. Znajdowałem się więc, jako projektant, w niezwykle komfortowej sytuacji. Odpadły wszystkie kłopoty z uzgodnieniami, nie było potrzeby zwoływania konferencji - mogłem projektować to co chciałem i tak jak chciałem.

Teraz kilka wyjaśnień na temat koncepcji planu ogólnego laboratorium. Pamiętam, że wówczas w "Prozamecie" wyrzuciłem do kosza kilkanaście różnych wersji, zanim zdecydowałem się na tę, która została ostatecznie zrealizowana w postaci dzisiejszego Ośrodka Hydromechaniki Okrętu w Oliwie, a wcale nie jestem pewien, czy była to wersja najlepsza.

Zacząłem od usytuowania warsztatu modelowego i basenu głębokowodnego. Od samego początku najbardziej podobały mi się rozwiązania, jakie oglądałem w Göteborgu, Kopenhadze i Zagrzebiu, a znane mi było również z opisów innych zakładów - to jest połączenie tych budynków osiowo w jedną całość z głównym wejściem transportowym od strony warsztatu modelowego. Taka konfiguracja ogromnie upraszcza transport wewnętrzny. Pamiętam, ile kłopotu w basenie w Paryżu stwarzał transport modeli z warsztatu znajdującego się w osobnym budynku. To był początek. Położenie warsztatów mechanicznych narzucało się natychmiast jako przylegające do warsztatu modelowego. To samo budynek biurowy, przy czym rozbudowa tego ostatniego przewidywana była w projekcie w postaci powtarzania w kierunku zachodnim części prostopadłej do budynku głównego.

Pozostawała sprawa drugiego basenu. Założenia przewidywały, dla pierwszego etapu inwestycji, budowę tylko jednego, dużego basenu głębokowodnego. W tym czasie istniało dużo zakładów wyposażonych tylko w jeden basen, a na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych powstało wiele podobnych. Jednak z mojego doświadczenia wynikało, że dodatkowy mniejszy basen zawsze się przyda do prowadzenia badań nietypowych, dla których eksploatacja dużego basenu jest zbyt kosztowna. Postanowiłem więc wyposażać zakład w taki właśnie basen uniwersalny; długo nie mogłem zdecydować, jaki to ma być basen. Wiedziałem tylko, że będzie to basen "pomocniczy", i ta nazwa się przyjęła. Początkowo myślałem o dość szerokim basenie, tzw. stacjonarnym, to znaczy bez urządzenia do holowania, zaopatrzonym jedynie w wywoływacz fal. Z basenem tego typu zapoznałem się w Paryżu. Był on bardzo intensywnie wykorzystywany do wszelkich badań na fali, wodowań itp. Wymiary tego basenu wynosiły 30 m x 7 m x 2,4 m. Dla przykładu jego zastosowania wspomnę, że kiedy tam byłem, basen ten w niezwykle pomysłowy sposób wykorzystywano do przeprowadzenia badań modelowych stabilizatorów płetwowych, dla prestiżowego statku pasażerskiego "France". Otóż, nie dysponując basenem właściwości morskich, postąpiono w sposób następujący: model zaopatrzono w stabilizatory napędzane silnikami zsynchronizowanym z silnikiem napędowym wywoływacza fal, ustawiono we wspomnianym basenie stacjonarnym bokiem do fali i tak zaprogramowano sterowanie kątów natarcia płatów, że model przestał się kołysać, wykonując jedynie nurzania. Teraz model umieszczono pod mostem holowniczym basenu i rozpoczęto holowanie, przy jednocześnie

pracującym wywoływaczu na basenie stacjonarnym. Zsynchronizowany z tym wywoływaczem stabilizator kołysań spowodował, że holowany model wykonywał kołysania boczne tak, jak gdyby działała na niego fala prostopadła do kierunku ruchu. Spędziłem w laboratorium paryskim kilka miesięcy i zawsze Francuzi zaskakiwali mnie swoim *gallijskim esprit*, pozwalającym w prosty sposób załatwić skomplikowane sprawy.

A zatem narysowałem właśnie taki basen o wymiarach 30 m x 7 m x 2,4 m. Natychmiast nasunęła się myśl, aby zainstalować na nim urządzenie grawitacyjne do holowania modeli takiego typu, jakie zaprojektowałem kiedyś dla basenu Politechniki Gdańskiej, mającego właśnie 30 m długości (istnieje ono do chwili obecnej, a więc już ponad 40 lat). Urządzenie grawitacyjne jest proste i tanie, ale mało uniwersalne. Przedłużyłem więc basen do czterdziestu kilku metrów i wyposażylem go w wózek holowniczy, a ponieważ basen był bardzo szeroki w stosunku do swojej długości, wołałem zastosować lekki wózek wysięgnikowy, przesuwający się wzdłuż jednej ściany basenu. Dodatkową zaletą wózka tego typu jest to, że nie zasłania on modelu obserwatorom stojącym obok basenu. Tak z basenu stacjonarnego zrobił się basen holowniczy, a że niewielkich rozmiarów, więc mógł być wykorzystywany również jako płytkowodny. W tym celu przewidziałem w środku długości basenu studzienkę z oknami obserwacyjnymi, sięgającymi aż do dna basenu. Potem, już w trakcie kreślenia rysunków wykonawczych, Stanisław Mętlewicz zaprosił mnie do CBKO w celu omówienia celowości przedłużenia basenu do ok. 60 m, co było niewątpliwie słuszne, i taki basen został zrealizowany, przy czym wózek wysięgnikowy został zastąpiony typowym dwuszynowym mostem holowniczym.

Niezależnie od tego, jaka miała być długość basenu pomocniczego, od początku zamierzałem usytuować go prostopadle do budynku warsztatu modeli i budynku basenu głębokowodnego, tak aby wzdłuż basenu powstał ciąg komunikacyjny połączony z warszatem. Ciąg ten miał prowadzić do przyszłego basenu właściwości morskich, basenu płytkowodnego i tunelu kawitacyjnego. Teraz pokusiło mnie ten ciąg poszerzyć, tak aby można było tam budować stanowiska badawcze dla doraźnych potrzeb. Na brak takiego pomieszczenia uskarżano się we wszystkich znanych mi zakładach. Z pewnością jednak żaden weryfikator nigdy by się nie zgodził na taką wielką niezagospodarowaną przestrzeń, gdybym jej potrzeby nie uzasadnił rozmiarami modeli, które miały być tamtędy transportowane. W ten sposób powstała hala, wielka niczym bankietowa.

Jeżeli chodzi o szczegóły, to projekty technologiczne wszystkich obiektów zawierały niezbędne dane dotyczące wyposażenia badawczego, warsztatowego, biurowego itp. wraz ze specyfikacją i zaznaczeniem ich położenia na siatce metrowej, jak również wytyczne dla projektów branżowych. I tak, wymiary basenów określiłem na podstawie maksymalnej prędkości mostu holowniczego, przyspieszeń przy ruszaniu i opóźnień przy hamowaniu, wymiarów modeli, szerokości pochłaniacza i wywoływacza fal itd. Natomiast szerokość basenów wynikała z konieczności uniknięcia tzw. efektu kanałowego. Musiałem też narzucić wszystkie wymagania dotyczące konstrukcji basenów, tolerancji ułożenia torów nośnych, wyposażenia badawczego, warsztatowego itd. Dla przykładu wspomnę, że profil korony basenu głębokowodnego wraz z kanałikiem wodnym

służącym do wypoziomowania szyn nośnych mostu holowniczego z dokładnością uwzględniającą krzywiznę ziemską opracowałem na podstawie szkiców i pomiarów wykonanych w różnych laboratoriach zagranicznych i ostatecznie narysowałem ten element w skali 1:1 na ścianie Laboratorium Hydrotechnicznego Instytutu Morskiego. Podobnie postąpiłem przy projektowaniu doku modelowego basenu. Jeżeli chodzi o port modelowy basenu głębokowodnego, to uważam go za mój pomysł i wiem, że takie rozwiązanie bardzo podobało się profesorowi Prohasce z Kopenhagi. Natomiast nie jest moim pomysłem kamienny pochłaniacz fal, którego usypywanie tak przeraziło konstruktora basenu, inż. Dembka z "Prozamet". Pochłaniacze kamienne są istotnie bardzo skuteczne i często stosowane w małych basenach hydrotechnicznych, ale tam do ich usypania wystarczy parę tacek kamieni. Kiedyś, w jakimś opisie Ośrodka Hydromechaniki Okrętu w Oliwie napotkałem następujące zdanie: "W końcu basenu ułożono ogromną masę kamieni - sztuczną plażę pochłaniacza fal. Materiał zwożono wagonami!". Brzmi to entuzjastycznie, ale doprawdy nie jest to powód do dumy. Po co góra kamieni, kiedy o tłumieniu fali decydują wyłącznie profil i struktura powierzchni plaży. A przecież

projekt technologiczny zawierał wszystkie dane dotyczące wykonania typowej, skorupowej plaży betonowej wraz z rysunkami i określeniem parametrów profilu wykładniczego, dobranego do zakresu wytwarzanych fal. Były nawet przeprowadzone, w basenie doświadczalnym Instytutu Morskiego, badania modelowe plaż o różnych kształtach. Podobnie basen nie został wyposażony w boczne odchylny pochłaniacze fal. Z nieznanymi mi przyczyn nie zostały bowiem sporządzone rysunki wykonawcze tych elementów, pomimo że i w tym wypadku wszystkie niezbędne dane znajdowały się w projekcie technologicznym.

Przy okazji parę słów na temat oświetlenia budynku basenu głębokowodnego. W celu ograniczenia do minimum pojawienia się vegetacji w wodzie basenu, której wymiana nie jest przewidywana, zaprojektowałem jedynie wąski pas okien w górnej części ściany północnej. Takie rozwiązanie jest często spotykane, jednak w czasie kiedy wykonywałem projekt panował pogląd, że należy całkowicie zrezygnować z oświetlenia naturalnego, co - jak mi się zdaje - wprowadzono po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Tak właśnie postąpiono w Paryżu przy budowie, w końcu lat pięćdziesiątych, nowego basenu głębokowodnego i płytkowodnego. Otóż, kiedy przebywałem na stażu obserwacyjnym w tym zakładzie, podszedł kiedyś do mnie *maitre de la passerelle*, czyli szef mostu holowniczego, i powiedział: "Monsieur, mówią, że pan będzie budował takie baseny u siebie w kraju. W imieniu tych, którzy będą tam pracowali, nie proszę, a żądam, aby tam były okna. Ci eleganccy panowie inżynierowie tego panu nie powiedzą, ale w tych koszmarnych tunelach nikt nie chce pracować!". I, jak się okazało, miał rację, bowiem, właśnie gdy piszę te słowa, oddawany jest do eksploatacji w *Val-de-Reuil* w Normandii nowy francuski zakład okrętowych badań modelowych, mający zastą-

Nowa placówka badawcza w Gdańsku

250-metrowy kryty basen dla... prób modeli statków

Stale wzrastająca produkcja naszych stoczni, budowa nowoczesnych statków różnych typów dla kraju i na eksport, wymaga coraz doskonalszych rozwiązań konstrukcyjnych. Chodzi głównie o uzyskanie jednostek o maksymalnej szybkości, ustalenie najlepszego dla danego typu statku kształtu kadłuba, największej sprawności układu napędowego, a tym samym zmniejszenia zużycia paliwa. Celom tym służyć będzie Zakład Okrętowych Badań Modelowych, który zostanie sbudowany w Gdańsku pod koniec obecnej 3-letki. Obecnie w gdańskim oddziale „Prozamet” opracowywany jest projekt wstępny zakładu. Generalnym projektantem jest inż. Andrzej Jarosz. Do niego zwracamy się więc o garść informacji. Podstawowym wyposażeniem zakładu będzie kryty basen do wykonywania prób modelowych statków, długości 250 m, szerokości 12 m i głębokości 6 m. Wzdłuż basenu na specjalnych torach poruszają się będzie most

(Dokończenie na str. 2)

"Wieczór Wyrbrzeża" z dnia 11 maja 1962 r. - wywiad z autorem, wówczas technologiem i generalnym projektantem Ośrodka Hydromechaniki Okrętu CTO w Oliwie

pić, istniejące od 1906 r., laboratorium paryskie. Budynek mieszczący ogromny basen holowniczy 545 m x 15 m x 7 m, tego nowoczesnego zakładu, posiada już okna. Jeżeli chodzi o okna w hali warsztatu modeli i początkowej, wysokiej części budynku basenu głębokowodnego projektowanego ośrodka w Oliwie, wychodzące na korytarz I pięta budynku biurowego, to zapożyczyłem je z Göteborga. Uważam, że widok z tych okien jest bardzo interesujący i daje wyobrażenie o skali obiektu.

Na zakończenie parę słów na temat wywoływacza fal. W projekcie technologicznym sugerowałem, aby zastosować wywoływacze typu nurkowego, które - choć są rzadko stosowane - uważam za lepsze od płytowych. Nadają się bowiem szczególnie dobrze do wytwarzania fali głębokowodnej, a ponadto, bez konieczności stosowania kłopotliwych uszczelnień, wytwarzają falę tylko w jednym kierunku, co zwiększa czynną długość basenu. Przeprowadziłem nawet próby modelowe kilku profili nurków w jednym z basenów hydrotechnicznych Instytutu Morskiego, a potem problem ten tak mnie zainteresował, że stał się tematem mojej rozprawy doktorskiej. Przy tej okazji wywoływacz nurkowy został zainstalowany w basenie holowniczym Instytutu Okrętowego PG, gdzie pracuje bez zarzutu już ponad 30 lat. Spodziewałem się, że będzie on mógł być wykorzystany jako prototyp przy projektowaniu takich wywoływaczy dla Ośrodka w Oliwie, jednak inwestor ostatecznie zakupił za granicą wywoływacze płytowe.

Taka jest pokrótce historia projektu Ośrodka Hydromechaniki Okrętu CTO w Oliwie, którego przygotowanie i opracowanie uważam za moje największe inżynierskie osiągnięcie.

Andrzej Jarosz
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (5)

O tym, jak czyjeś lenistwo czyjeś życie ocaliło

*"Lepsza garść wytchnienia niż dwie garście trudu i po-
goń za wiatrem"*

Salomon, Księga Kaznodziej, 4:6.

Tę dziwną historię zaczęła opowiadać Ryśka. (patrz PISMO PG, maj 1998, str. 14).

"Był piękny lipcowy dzień 1946 roku, po niebie chodziły białe kumulusy, a wiatr idący od morza łagodził upał. W tych warunkach ogarniało nas błogie lenistwo. Nas, to znaczy grupę studentów, którzy po pierwszym roku studiów na Wydziale Mechanicznym zostali skierowani na praktykę warsztatową do położonych nieopodal Gdyni w Rumi-Zagórze Zakładów Mechanicznych przylegających do skraju płyty niemieckiego lotniska wojskowego.

Nasza praktyka polegała na codziennym podpisywaniu listy obecności, pobieraniu przysługującego nam pół litra deputatu mlecznego i objaniu się po warsztacie. Nikt nami się nie zajmował, park maszynowy był zaniebdany i cała praktyka była dla nas nudna. Ukoronowaniem naszej pracy miało być sprawozdanie w formie dzienniczka, który komponowaliśmy na zakończenie dla przedłożenia dziekanatowi. Należy stwierdzić, że istniało między kierownictwem warsztatu a nami ciche porozumienie o niewchodzeniu sobie w drogę.

W pogodne dni ulubionym naszym zajęciem było opalanie się pośród gruzów rozbitego betonowego bunkra, leżących przy płycie lotniska.

Tak było i dzisiaj. Wypiliśmy nasz mleczny deputat i korzystaliśmy ze słońca, siedząc pośród betonowych bloków zasłaniających nas od strony warsztatu. Przed nami wystawała ponad metr nad ziemię rura stalowa średniej grubości. Gdy już opowiedzieliśmy sobie najnowsze dowcipy, któryś z kolegów zaproponował, dla zabicia czasu dzielącego od fajrantu, rzucanie kamuszkami w rurę. Ustaliliśmy kolejność rzutów i przystąpiliśmy do popisowania się swoją celnością. To proste na pozór zadanie nie było wcale tak łatwe przy kilkunastometrowej odległości. Dopiero po lekkim treningu nabraliśmy wprawy i rura coraz częściej sygnalizowała nam donośnym dźwiękiem trafienie do celu.



*Ryśka (Maria Moszkowska) pośród
swoich kolegów z II roku Wydziału
Mechanicznego (1947 r.)*

Ta zabawa zaczynała się nam już nudzić, gdy nastąpiła dziwna rzecz: rura sam zaczęła generować stuknięcia! Początkowo zdawało się nam, że się przesłyszeliśmy, ale stuknięcia nadal było słychać. Podeszliśmy do rury i zaczęliśmy uderzać metalowym prętem. Po każdym uderzeniu następował odzew - ktoś odpowiadał!

O tym wydarzeniu zawiadomiliśmy kierownictwo. Sprawdzono naszą obserwację. Wiadomość przedostała się do załogi. Każdy biegł do rury i stukał w nią, czym tylko się dało. Wkrótce zjawiała się milicja, bezpieka i wojsko. (Panowała wówczas jeszcze psychoza zagrożenia ze strony Werwolfu). Teren wkrótce ogrodzono i nikomu nie zezwolono tam wchodzić. Przyjechały koparka i dźwig, zaczęły pracować młoty pneumatyczne.

Nasza praktyka dobiegła końca, finału sprawy nie dowiedzieliśmy się, krążyły różne nieprawdopodobne pogłoski, ale wszystko było już pokryte oficjalnym milczeniem" - zakończyła Ryśka.

Słuchając tej opowieści, przypomniałem sobie, że z dużym opóźnieniem pisałem o tym wydarzeniu "Dziennik Bałtycki". Otóż udało się odgruzować wejście do podziemnego bunkra pod płytą lotniska. Zrobiono przejście i znaleziono - rzecz wręcz nieprawdopodobna - żywego niemieckiego żołnierza, który przebywał tam ponad rok od zakończenia wojny. Był we wnętrzu w momencie wysadzenia bunkra. Miał szczęście, że przebywał w pomieszczeniu magazynowym z konserwami, pojemnikami z wodą i z odzieżą. W tym pomieszczeniu, z sufitu wychodziła rura, ta widziana z zewnątrz. Doprowadzała świeże powietrze i dawała widok na mały krążek nieba.

Zadziwiająca była odporność psychiczna tego człowieka, który potrafił przeżyć ponad rok samotnie (?) zamknięty w tej ciemnicy, a do tego potrafił jeszcze odpowiedzieć na usłyszane stuknięcia. Przyzwyczajony do absolutnej ciszy, jak wytrzymał tą orgię hałasów, gdy każdy do niego stukał? Przewieziono go z zasłoniętymi oczami do szpitala Marynarki Wojennej w Oliwie, tam umieszczono w zaciemnionym pokoju i powoli, przez kilka miesięcy adaptowano do normalnych warunków. Po podleczeniu odesłano go do Niemiec.

Tak to do opowieści Ryśki życie dopisało ciąg dalszy i - co rzadko się zdarza - z happy-endem.

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE ("ZDZISIO" CD.)

Po ukazaniu się w świątecznym numerze ("Pismo PG", nr 9/98) opowieści "ZDZISIO", zgłosił się do mnie bohater tego opowiadania i opowiedział dalszy ciąg wydarzenia.

Zdzisio po przekazaniu zbiegowi (z aresztu na Biskupiej Górze) otrzymanej właśnie z darów UNRRA marynarki chciał jak najszybciej ruszyć w dół schodów. Spotkał się jednak z nową prośbą: uciekinier pragnie dostać się do Gdyni, gdzie ma

przyjaciół, i chce być wsadzony do jadącego do Gdyni autobusu.

Zdzisio, nadal spięty i obawiający się prowokacji, zawahał się przez chwilę, ale przypomniał sobie złożoną podczas okupacji przysięgę w konspiracyjnej organizacji i podjął decyzję. Zszedł pierwszy ze schodów i ruszył wolno na ulicę. W każdym z przechodniów widział agenta bezpieki za chwilę go aresztu-

jącego. Obdarowany, już w eleganckiej amerykańskiej marynarce, siedł w bezpiecznej odległości. Zdzisio, spocony mimo chłodu, dotarł do przystanku autobusowego naprzeciw Politechniki. Szczęśliwie wkrótce nadjechał "autobus". To dumne miano nosiły wówczas wielkie amerykańskie ciężarówki z UNRRA, przewożące pod plandeką stłoczonych, stojących pasażerów.

Zdzisio rozejrzał się wokół, nie dojrzał zagrożenia i skinął ręką. Do ruszającej już ciężarówki wyskoczył zza drzewa zbieg, szybko wspiął się do środka i wmiszał się w tłum pasażerów.

Zdzisio odetchnął i poczuł nagle, że nogi mu się ugięły. Szybko się zmobilizował i, rozglądając się wokół, ruszył okrężną drogą do Politechniki. Minęło kilka tygodni, nim odzyskał równowagę psychiczną i przestał się obawiać, że jego pomoc może się wydać. Na wszelki wypadek nikomu się dotąd nie zwierzał.

*Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny*

Obrazki z zawodowego życia absolwenta cd.

Ostatnim moim zakładem pracy przed emeryturą była Stocznia Północna w Gdańsku. W 1987 roku wszedłem w skład czteroosobowej grupy specjalistów, wydelegowanych do Baku nad Morzem Kaspijskim, aby usunąć w ramach gwarancji kilka drobnych niesprawności na okręcie tam bazującym. Jak zawsze w takich przypadkach, był wśród nas przedstawiciel "Centromoru". Dolecieliśmy samolotem do Moskwy i - po noclegu w hotelu przy lotnisku Szarenietiewo II - taksówka dowiozła nas na krajowe lotnisko Domodiedowo, kawał drogi obwodnicą wokół Moskwy. W tymże hotelu jedliśmy śniadanie i od razu nastąpiło pierwsze zaskoczenie. Zajęliśmy stolik w hotelowej restauracji. Wybór dań był niewielki, ale my, jako obcokrajowcy, byliśmy uprzywilejowani. Natomiast obywatele ZSRR byli wyraźnie klientami drugiej kategorii. Wszedłszy do lokalu stawali pokornie przy drzwiach i czekali, aż kelner wskaże im stolik i każe usiąść. A tłoku nie było i kilka stolików było wolnych. Wyglądało na to, że inne karty dań były dla "inostrąców", a inne dla swoich. Można to było poznać po tym, co kto miał na talerzu. W hotelu był kiosk z różnymi pamiątkami i delikatesami, ale nie widziałem tam kupujących krajowców. Tu zrobię dygresję i wspomnę, że wcześniej w Leningradzie, wchodząc do restauracji "Kaukaska" natknęliśmy się na goryla, który zapytał groźnie "wam czewo?" Gdy przekonał się, że my Polacy, ukłonił się nisko i wpuścił do środka. Na lotnisku Domodiedowo udaliśmy się natychmiast do salki Inturistu (to taki radziecki Orbis), gdzie przyjęto nas po europejsku, natychmiast zarezerwowano miejsca na najbliższy lot do Baku, z zaznaczeniem na biletach numerów foteli w samolocie, i po godzinie czekania przy telewizorze i kawce zaproszono jako pierwszych do samolotu. Inni, krajowi pasażerowie czekali w obskurnej dużej sali, siedząc lub leżąc na tobołkach, podobno często po kilka dni, szczególnie w okresie urlopowym, gdy notable latali na południe na urlopy, a obcokrajowcy turystycznie. Gdy my siedzieliśmy już w samolocie, dopuszczono pozostałych. Pasażerowie naszego rejsu mieli w większości wygląd południowców i widać było, że są zamożni. Któryś z nich usiadł dla towarzystwa na fotelu o innym numerze niż miał na bilecie. Trzeba było widzieć przerażenie w oczach ostatniego pasażera, któremu zostało miejsce o numerze niezgodnym z zapisem na bilecie. Nie siadał, lecz stał bezradnie przy fotelu z widoczną obawą, że na pewno wyrzuci go z samolotu, albo co gorszego.



Samolot już ruszał, gdy pojawiła się stewardessa i energicznie kazała mu siadać. Zrobił to, ale pokazywał jej bilet z tą straszną niezgodnością z miną winowajcy. Gdy machnęła ręką, oglądał się jeszcze dookoła, jakby się obawiał, że wyrzuci go z maszyny podczas lotu. To zachowanie skojarzyło mi się z dyscypliną klientów w restauracji i wskazywało na straszliwe sterroryzowanie społeczeństwa.

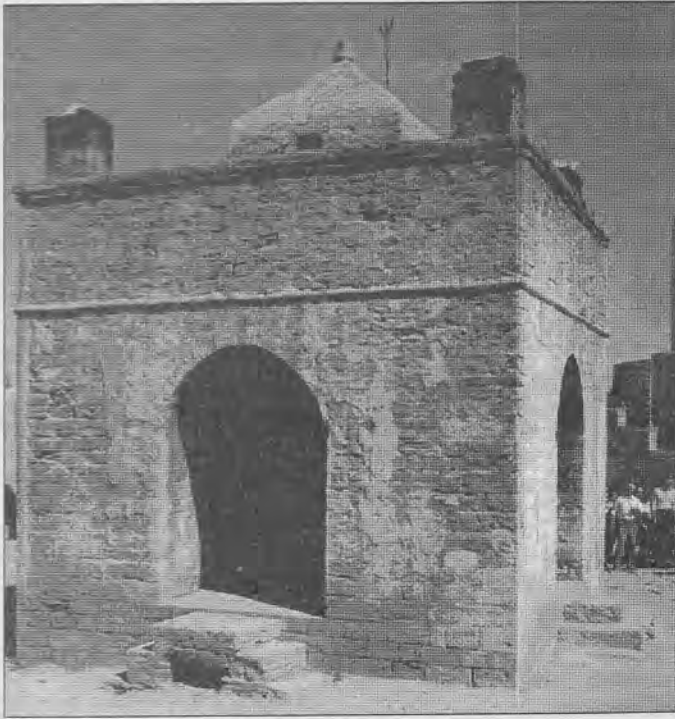
Samolot TU-154 leciał długo, bo Baku było odległe. Czulem się w nim niepewnie. W pamięci była straszliwa katastrofa samolotu IŁ-62 w Lasku Kabackim pod Warszawą. Katastrofa ta wynikała z awarii silnika. Po niej zawieszono loty na IŁ-62 i widziałem szeregi tych samolotów stojących z boku, i w Warszawie i w Moskwie. Podobno modyfikowano ich silniki, a zamiast nich latały TU-154. Najmieszniejsze było to, że - jak mi

powiedział ktoś oblatany w zagadnieniu - obydwa typy samolotów miały takie same silniki, tylko że IŁ-62 miał ich cztery, a TU-154 trzy. Nie wiedziałem na pewno, czy to prawda, ale czulem się dość miękko. Jednak do Baku dolecieliśmy zdrowo.

Zainstalowano nas w kabinach naprawianego okrętu, po naprawie na innym, a na końcu w eleganckim hotelu na czas oczekiwania załatwienia miejsca w samolocie powrotnym. Trwało to kilka dni i mogliśmy zwiedzić w Baku to i owo. Pobyt na statku był przykry, bo zepsuta była klimatyzacja, środek lata i południowe upały, przekraczające 30°C. Szczególnie noce były koszarne, bo nie były wiele chłodniejsze. Remont był krótki. Przypuszczam, że kapitan dostał jakiś dobry bakczysz, bo protokół naprawy podpisano rychło, a my codziennie zapraszani byliśmy na urozyste obiady i kolacje z oficerską kadrą jednostki. Potrawy były bardzo regionalne

i smakowite, a wódki pito niepomiernie dużo i właściwie tylko ja jeden zachowywałem umiar. Kadra oficerska i moi współtowarzysze byli praktycznie na zmianę pijani lub skacowani, i tak działo się aż do przenosin do hotelu. Kilka razy cierpła mi skóra, gdy patrzyłam jak moi koledzy kompletnie "zabalsamowani" chwiejnie stąpali po wiotkich trapach, lub przechodzili przez nadburcie niskiego okręcika wprost na nabrzeże. Groziło to upadkiem do wody między kadłub i betonowy brzeg, co przy kołyszącym się kadłubie groziło nieuchronnym zgnieceniem na plasterki. Pan Bóg jednak czuwał nad pijanymi.

Jak już napisałem, zobaczyliśmy w Baku to i owo. Najciekawszym obiektem była ni to świątynia, ni to pustelnia, coś



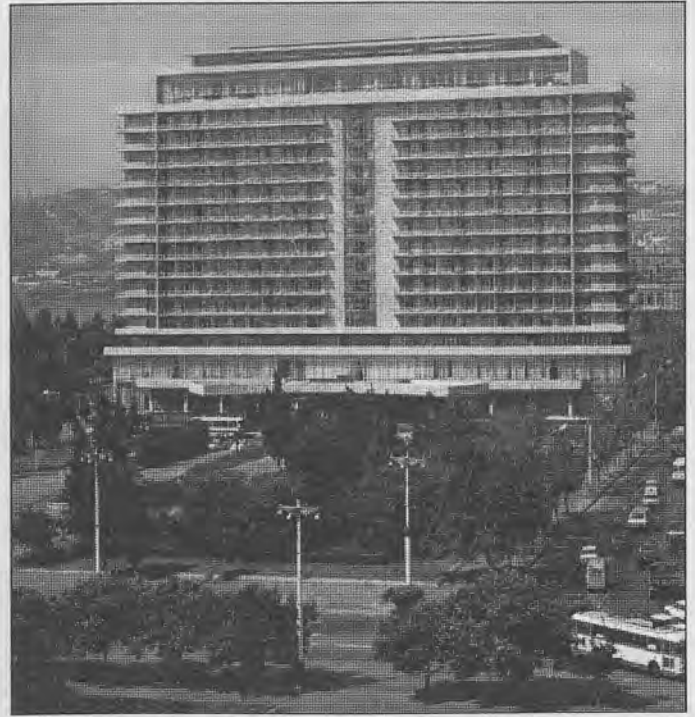
Świątynia Czcieli Ognia

rodzaju chramu, w którym przed wiekami osiedlili się pochodzący ponoć z Indii, Czciiele Ognia. Odnowiony obiekt ze sprzętami i ludzkimi figurami wyglądał jak funkcjonujący dawniej. Byliśmy też w muzułmańskim seraju, hotelu dla wędrujących kupców i w ręcznej tkalni, a właściwie w wyszywalni dywanów.

Powrót z Baku do Moskwy dostarczył też charakterystycznego wrażenia. Na godzinę przed lądowaniem z głośników samolotu popłynęła najpierw bohaterska, typowo radziecka muzyka, a potem ozwał się głos podający informacje o wspaniałym, bohaterskim, pięknym i potężnym stołecznym mieście. Wyliczano liczbę mieszkańców, fabryk, wyższych uczelni, muzeów, teatrów, podawano daty wydarzeń związanych z Moskwą, podkreślano wszystkie możliwe wspaniałości, a wypowiedziane to było tonem ekstatycznego zachwyty, pełnym patosu



Ręczna tkalnia dywanów



Hotel w Baku, w którym mieszkaliśmy

i uwielbienia, jaki się słyszy chyba tylko w krajach o systemie autorytarno-propagandowym. Trwały te peany aż do momentu lądowania. W Moskwie nasza ambasada zakwaterowała nas z wielkim trudem (okres letnich wycieczek) w hotelu "Kosmos", w którym czekaliśmy trzy dni na bilety do Polski. Wreszcie upchnięto nas w pociągu przez Warszawę do Zielonej Góry. Przez te trzy dni pobiegałem nieco po Moskwie, ale niewiele, bo bałem się zgubić. Zresztą, gdzie by nie pójść, tłumy były niewyobrażalne, szczególnie w sklepach i domach towarowych (uniwermagach). Kupiłem tanio niezłą wiertarkę ręczną-elektryczną i komplet nic nie wartych wiertel. Dla domu trzy kilo rodzynek, których wówczas w Polsce brakowało. Obejrzałem Plac Czerwony i ministerstwo na Łubiance (z zewnątrz). Do mauzoleum nie wchodziłem, bo nie lubię kolejek. Kupiłem też zawór do spluczki z wielkim pływakiem i zainstalowałem go po powrocie na swojej działce w Gdańsku tak, że samoczynnie reguluje do dziś poziom wody w beczce wkopanej w ziemię.

W pociągu jechało prócz nas dużo wojskowych z ZSSR i ich rodzin, bo celem ich była Zielona Góra, czyli ogromna baza wojsk radzieckich w Polsce. Pociąg biegł przez Mińsk i Brześć nad Bugiem. Rankiem wjechaliśmy na teren Polski. Stałem na korytarzu, a obok mnie stał starszy pan z wnuczką. On chyba był pół-Polakiem, bo niezłe mówił po polsku. Pokazywał wnuczce krzyże i figury świętków przydrożnych i pytał ją, czy wie, co one oznaczają? Czynił to widocznie przez przekorę i jako przedstawienie dla mnie, bo gdy wnuczka nie wiedziała nic na ten temat, mrugał do mnie i mówił: "Widzi pan? Oni w ogóle tego dzieci nie uczą". Kiwałem głową ze zrozumieniem, nie wiedząc, z jaką intencją było to robione. I to była ostatnia przygoda z tej delegacji. Myślałem, że i ostatnia delegacja, bo zbliżał mi się stoczniowy wiek emerytalny i nie spodziewałem się więcej służbowych wyjazdów zagranicznych. Jednak stało się inaczej. Cdn.

*Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

Wspomnienie o Moim Ojcu, Emilianie Sroce (zakończenie)

Gdy ojciec wrócił z więzienia, wraz z moim bratem zaangażował się do pracy przy odgruzowywaniu miasta. W ten sposób można wtedy było nienajgorzej zarobić. Nasze sytuacja materialna z miejsca się poprawiła. Niestety, matka musiała pójść na ponad miesiąc do szpitala. Na kardiologię.

Kiedy wreszcie w połowie czerwca 1945 roku rodzina nasza znów znalazła się w komplecie - stanął przed nami problem, co robić dalej? Wbrew pozorom nie był to problem prosty. Z jednej bowiem strony nadarzała się możliwość szybkiego powrotu do Kraju: oto Urząd Repatriacyjny organizował właśnie dla uchodźców polskich na Węgrzech wielki transport kolejowy do Polski. A więc, wydawałoby się, tylko siadać i jechać!

W tymże czasie jednak odwiedziło nas kilku znajomych Żydów, którym ojciec bardzo pomógł w czasie wojny. Mianowicie, ryzykując własnym życiem, wystawił im fałszywe dokumenty, które, jak sami przyznawali, kto wie? może ocaliły im życie... Oni to właśnie zaskoczyli nas niespodziewaną propozycją i pomócili nieco w głowach.

- Panie Doktorze - oświadczyli - czując się pańskimi dłużnikami, załatwiliśmy dla Pana i Pańskiej rodziny możliwość wyjazdu na pobyt stały do Związku Afryki Południowej. My też tam się wybieramy. Sytuacja w Polsce jest niepewna: okupacja sowiecka niczego dobrego nie wróży. Radzimy zatem zdecydować się na wyjazd do najbardziej cywilizowanego i najbogatszego kraju Afryki. Jeśli się Państwo zdecydują - my pokryjemy wszystkie koszty podróży.

Propozycja była rzeczywiście powabna, zwłaszcza dla młodszej generacji rodziny Sroków... Afryka; marzenie każdego chyba chłopca. Dżungla, polowanie na lwy, rzeki pełne hipopotamów i krokodyli... Ale my zbyt długo tęskniliśmy za Polską, wymarzoną, po tylekroć przecierpianą, ukochaną... Czy dla tej wytęsknionej i wymodlonej Polski mogła być godną alternatywą jakaś tam Afryka!? Więc kiedy ojciec zarządził rodzinny plebiscyt, wszystkie głosy padły za Polską. I gdy kiedyś, po trzydziestu z górą latach od owego plebiscytu, siedzieliśmy w gronie rodzinnym i wspominaliśmy tamte dni, wszyscy stwierdziliśmy jednogłośnie, że nigdy nie żalowaliśmy tamtej decyzji.

*

Mieliśmy wracać do Polski wielkim transportem repatriacyjnym, który wyruszał 12 sierpnia 1945 roku. Już od początku miesiąca zgromadzono nas w obozie zbiorczym, który urządzone w byłych koszarach wojskowych. Żywiono nas ruskim jedzeniem żołnierskim: przeważnie kasza z baraniną. Transport wyruszył w ustalonym terminie i z Budapesztu do Krakowa wólkł się 8 dni - też zgodnie z planem. Był ogromny: prowadził 50 wagonów (krytych towarowych) i wiózł do domu 1600 Polaków. Ciągnęły nas zawsze dwa parowozy.

Transport nasz wyruszył w drogę około godziny 10.00. Tego samego dnia o zmierzchu opuściliśmy teren gościnnej ziemi węgierskiej i wjechaliśmy na Słowację. Długo jeszcze spoglądaliśmy na sylwetkę z daleka widocznej, potężnej katedry metropolitalnej w przygranicznym Estergom - odwiecznej węgierskiej stolicy kościelnej.

Chyba my wszyscy, którzy wtedy opuszczaliśmy Węgry, by wrócić do Kraju, staliśmy się już odtąd na całe życie zagorzałymi hungarofilami i zaprzysiężonym zwolennikami przyjaźni polsko-węgierskiej. Były bowiem ku temu solidne podstawy. Oto obcy szczepowo naród, mówiący do niczego niepodobnym, jakże trudnym językiem, w dodatku naród wplątany w wojnę

po całkowicie przeciwnej, niż my, stronie, stał się nam tak bardzo przyjazny i bliski. Przyjęli nas - rozbitków wojennych - nad wyraz gościnnie, dzielili się z nami tym, co mieli - a mieli wtedy niewiele! Szybko zawiązywały się przyjaźnie. Z początku próbowaliśmy porozumiewać się między sobą po niemiecku. lub... po łacinie. Przekonywaliśmy się coraz głębiej, że łączą nas ta sama kultura, ta sama łacińska, chrześcijańska cywilizacja, którą jednakowo mocno miłowaliśmy. Łączą nas ponadto wspólne losy dziejowe. Losy dwóch przed tysiącem lat ochrzczonej narodów, które przez wieki całe tworzyły przedmurze chrześcijańskiej Europy. Uświadamiając więc sobie łączące nas, Polaków, z tym narodem więzy, a także w poczuciu wdzięczności za to, co oni dla nas w czasie wojny zrobili, do dziś modłę się często słowami ich hymnu narodowego: "Boże, błogostaw Węgrom..."

Dnia 20 sierpnia 1945 roku wśród naszych repatriantów z Węgier wybuchł płacz radości, wtedy to po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak po surowej, mocnej twarzy ojca spływają łzy. Tego dnia około południa pociąg nasz na wysokości Dziedzic przekroczył granicę Polski. Czekaliśmy na tę chwilę sześć lat!

Zarządzono dłuższy postój na stacji kolejowej w Dziedzicach. Przeszliśmy się więc po mieście, matka próbowała przy tym zrobić jakieś zakupy. Pamiętam, jak niezwykle wrażenie wywarł na mnie fakt, że ludzie wszędzie mówią po polsku: na ulicy, w sklepach, w urzędzie...

Po ostudzeniu emocji stanęliśmy wszakże wobec konieczności podjęcia ważnej, życiowej decyzji. Otóż transport nasz miał nas dowieźć jedynie do Krakowa. Tam podobno oczekiwały już na repatriantów specjalne pociągi, które miały ich dowieźć do poszczególnych miast Polski. A zatem dokąd się udać? W którym mieście zamieszkać na stałe? Ojciec znów zarządził "plebiscyt". Jego wynik nie był już tym razem taki jednomyślny, jak wtedy, w czerwcu. Każdy z nas dostał karteczkę, na której miał napisać nazwę miasta, w którym chciał, byśmy się osiedlili. Ojciec proponował, byśmy się osiedlili gdzieś na Śląsku, np. w Skoczowie, bo tam zamieszkiwała część rodziny z matki strony, a poza tym stamtąd bliżej było także do innych krewnych. Matka optowała za Krakowem, "najbardziej polskim ze wszystkich polskich miast", natomiast ja z bratem opowiedzieliśmy się zdecydowanie po stronie Gdańska, bo tam było morze, a my chcieliśmy zostać marynarzami.

Ojciec łatwo dał się przekonać - on też był zafascynowany Gdańskiem, a ponadto argumentował, że oni - starsze pokolenie - już przeżyli swoje, niechże zatem o przyszłości zadecyduje młodzież. Matka przez jakiś czas próbowała obstawać przy swoim, lecz w końcu też się zgodziła... Zwyciężyła więc pajdokracja! Gdańsk został przegłosowany. I w ten sposób na samym początku września 1945 roku znaleźliśmy się w starym grodzie Heveliusza!

Rozpoczynał się całkowicie nowy rozdział w dziejach rodu Sroków...

Gdańsk był po wojnie mocno zniszczony. Z centrum miasta pozostały tylko ruiny. Trudno więc było tu znaleźć odpowiednie mieszkanie. Dlatego zmuszeni byliśmy mieszkać ponad miesiąc w wagonie kolejowym - wraz z kilkoma rodzinami, które podobnie jak my poszukiwały mieszkania. Wagon nasz stał mniej więcej w tym miejscu, gdzie dziś znajduje się przystanek Gdańsk-Stocznia.

Wreszcie dnia 10 października 1945 roku znaleźliśmy w odległości 10 min drogi pieszej od Dworca Głównego niewielki, drewniany domek z ogródkiem. Wszystkim się spodobał - choć był mały i bardzo skromny - i mocno już sfatygowany wiekiem. W nim właśnie zamieszkaliśmy. I choć później wielokrotnie nadarzała nam się możliwość zamiany domku na luksusowe mieszkanie w bloku - my nie chcieliśmy słyszeć o żadnej zamianie. W nim czuliśmy się najlepiej, bo to był nasz "mały, stary domek"! Z domku tego rodzice wyprowadzili się dopiero w 1983 roku, gdy zmuszeni byli przenieść się do Skoczowa.

Po znalezieniu mieszkania, ojciec zabrał się pilnie do poszukiwania pracy. Znalezienie odpowiedniej posady nie było wtedy - wbrew pozorom - sprawą łatwą. Ojciec gotów był nająć się nawet do jakiejś ciężkiej pracy fizycznej - np. jako robotnik przeładunkowy w porcie. Był wtedy zdrowy, silny i niezbyt jeszcze podeszły w latach. Lecz gdy pracodawca dowiadywał się z dokumentów, że ojciec ma tytuł doktora, miał gotową odpowiedź: - Nam nie wolno zatrudniać przy pracach fizycznych ludzi z wyższym wykształceniem.

Wreszcie, po prawie dwóch miesiącach usilnych starań, ojciec znalazł odpowiednią pracę: zatrudniony został w Zjednoczeniu Stocznii Polskich na stanowisku naczelnego inspektora. Na stanowisku tym przepracował do roku 1948, a potem za namową kilku serdecznych przyjaciół, pracowników Politechniki Gdańskiej, a zwłaszcza pod wpływem gwałtownych nalegań matki, niezadowolonej z ciągłych wyjazdów ojca na tzw. "delegacje" (do Stoczni Szczecińskiej), przeniósł się do pracy na tej czcigodnej, gdańskiej Uczelni. Ojciec przepracował na Politechnice ponad 30 lat: od 1948 do 1977 roku. Był dyrektorem administracyjnym, radcą prawnym i kierownikiem oddziału planowania Politechniki Gdańskiej. Wycofał się z pracy dopiero po niezbyt groźnym wypadku drogowym, mając 81 lat. Niczego bliższego na temat pracy mego ojca na Politechnice powiedzieć nie potrafię. Pamiętam jedynie, że na skutek zatargu z jakąś większą "szycią" partyjną ojciec w roku 1950 zdjęty został z funkcji dyrektora. Czego dotyczył ów zatarg - tego niestety nie wiem. Wiem natomiast, że ta degradacja ojca ze stanowiska dyrektora żadnego smutku w rodzinie nie wywołała. Byliśmy z niego dumni!

Ojciec mój przez całe życie był człowiekiem religijnym, a co dla mnie miało chyba szczególne znaczenie - człowiekiem rozumnie religijnym. Szukał głębszego, rozumnego uzasadnienia swojej wiary. Ogromny wpływ wywierały na mnie jego rozmowy i wypowiedzi na tematy religijne; pamiętam, choć byłem wtedy 14-letnim chłopcem, jak któryś z jego przyjaciół-niedowiarków, zadał mu pytanie: "Dlaczego wierzysz w Boga?". Ojciec odpowiedział mu: "Bo nie mam innego, rozumnego wyboru. Gdybym odrzucił wiarę w Inteligentnego Stwórcę Wszelczeczy musiałbym stanąć na stanowisku, że wszystko na tym świecie - łącznie ze mną, jest wynikiem ślepego, bezsensownego przypadku. W takim razie cały ten nasz świat byłby jedynie zlepkiem bezsensu i absurdu. Człowiek zaś - zgodnie z tak pojętą wizją rzeczywistości - byłby jedynie chodzącą kupą białka i trupem na urlopie. Przy tym

byłby on jedyną na tym świecie istotą, która jest świadoma swej absurdalnej i beznadziejnej sytuacji. Czy przeto można sobie wyobrazić coś bardziej mizernego i nieszczęsnego, jak w ten sposób pojmowany człowiek!? Taka absurdalna koncepcja świata wcale mi nie odpowiada. Dlatego wybrałem tę bardziej racjonalną..." Ojciec nigdy nie wstydził się swojej wiary, choć zarazem nie manifestował jej. Od 1936 roku, czyli jeszcze od czasów bratysławskich, oboje rodzice byli tercjarzami, to znaczy należeli do Trzeciego Zakonu św. Franciszka z Asyżu. Pamiętam, że w Gdańsku na spotkania tercjarzskie oboje uczęszczali regularnie co miesiąc. Odbywały się one w kościele Ojców Kapucynów pod wezwaniem św. Jakuba Apostoła, niedaleko dzisiejszego stocznioowego pomnika Trzech Krzyży. Jeszcze dwa tygodnie przed śmiercią, gdy ostatni raz odwiedziłem rodziców w Skoczowie, ojciec - już prawie ślepy - do końca wiernie odmawiał swoje tercjarzskie oficjum brewiarzowe. Myślę, że religijna postawa ojca w dużym stopniu wpłynęła na narodzenie się mojego powołania kapłańskiego. Jestem mu za to wdzięczny!

W domu rodzinnym, zwłaszcza u ojca, brałem pierwsze lekcje patriotyzmu. Dziś mogę ocenić, że był to patriotyzm gorący i ofiarny - całą duszą oddany Polsce. Wspomniałem powyżej, że w czasie wojny ojciec współpracował jako jeden z kilkunastu Polaków - z wywiadem brytyjskim. Tworzyli oni grupę wywiadowczą, która uchodziła podobno za jedną z lepiej pracujących komórek tego typu na Węgrzech. Gdy do naszego mieszkania przychodził od czasu do czasu ktoś z "wywiadu", zachowywano najdalej posunięte środki ostrożności, a brata i mnie wysyłano do sąsiadów. Czuliśmy wtedy, że dzieje się coś bardzo nielegalnego!

Podczas wojny ojciec utrzymywał także żywe kontakty ze Związkiem Harcerstwa Polskiego na Węgrzech, do którego należał także mój starszy brat, Bolesław. W tamtym czasie była to oczywiście organizacja nielegalna, namiętnie ścigana przez władze niemieckie. Wielu członków ZHP na Węgrzech tułało się po więzieniach bądź

obozach koncentracyjnych i ponosiło śmierć z rąk niemieckich. Od 1943 roku, mniej więcej raz w miesiącu, w niedzielę, zbierali się w naszym mieszkaniu starsi druhowie ZHP. Było rzeczą oczywistą, że w razie wsypy, zarówno gospodarzom, jak i uczestnikom takiego spotkania groziły najsroższe represje ze strony hitlerowców. Tymczasem na spotkania te przychodziło nieraz kilkanaście osób. W takich warunkach niełatwo było zachować choćby elementarne zasady konspiracji. Mimo to, dzięki Bogu, do końca wojny obyło się bez wsypy... Najbardziej znaną osobistością spośród zbierających się u nas harcerzy był harcmistrz, druha Bronisław Noga, późniejszy dyrektor szkoły w Brzozowie. Dowodził on drużyną, do której należał mój brat, Bolek. Spotkania, w których brała udział cała nasza rodzina, pozostawiły na mnie niezatarte wrażenie. Rozpoczynały się zwykle od omówienia bieżących spraw organizacyjnych, następnie odczytywano urywek Pisma Świętego i rozważano go. Z zasady czytano i omawiano także fragmenty "Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego". Nastroj takich spotkań bywał zawsze bardzo podniosły. Myślę, że chyba było w nim coś z tej atmosfery, która



Ludmiła i Emilian Srokowie, 1997 r.

panowała na podobnego typu zgromadzeniach Polaków z okresu Wielkiej Emigracji. Obecność ojca na tamtych spotkaniach była zawsze bardzo ceniona. Kiedy mówiono o Polsce - twarze promieniały, oczy płonęły, głos stawał się uroczysty. I o Polsce mówiono dużo, chyba przede wszystkim mówiono o niej: o tej, która ma powstać - sprawiedliwa, silna, mądra, święta! Potem śpiewano pieśni religijne, patriotyczne, a zwłaszcza harcerskie. Kto przeżył takie spotkania, nie zapomni ich już nigdy. Więc ja nie mogę i nie chcę o nich zapomnieć...

Życie małżeńskie moich rodziców uważam za szczęśliwe i udane. Nie przypominam sobie żadnej większej awantury domowej. Wprawdzie wybuchały między nimi drobne sprzeczki, ale kończyły się one prędko, zwykle jakimś dowcipem ojca pod adresem matki. Szanowali się i kochali przez całe życie, i to bynajmniej nie na pokaz.

Było to już w Gdańsku, chyba zimą 1946 r., Matka wzięła torebkę z pieniędzmi i poszła do miasta po jakieś większe zakupy. W drodze podbiegła do niej gromada szwargocących po niemiecku wyrostków, wydarła torebkę z ręki i uciekła. Takie przypadki zdarzały się wtedy w Gdańsku bardzo często. Przepadł więc cały miesięczny zarobek ojca, a prócz tego żelazny zapas na czarną godzinę - 100 dolarów. Matka wróciła do domu zapłakana i przerażona - świadoma, że pozostaliśmy właściwie bez środków do życia. Bardzo się bała reakcji ojca. Lecz ojciec uściśnął matkę i powiedział: - Nie płacz! Jakoś sobie poradzimy... Gorzej by było, gdyby mi ciebie ukradli!

Gdy ojciec wracał z pracy do domu, zawsze całował matkę z szacunkiem w rękę i tulił do siebie. Czynił tak do późnej starości, nawet jako już 80-letni starzec.

Z okresu mego dzieciństwa pamiętam ojca jako świetnego towarzysza zabaw, pełnego radości i dobrego humoru. Gdy mógł, chętnie poświęcał swój czas nam - swoim synom. Bardzo miło wspominam nasze wspólne włóczęgi po okolicznych lasach i wzgórzach, nasze przechadzki po pięknym parku miejskim. Szczególnie jednak wdzięczny jestem ojcu za to, że bawił się z nami w chwilach naprawdę trudnych: w czasie nalotów bombowych i oblężenia, gdy musieliśmy siedzieć w schronie. Bywało, że u góry coś potwornie dudniło, podłoga drżała jak w czasie trzęsienia ziemi, a lampa na suficie tańczyła niby obłąkana. Węgierskie kobiety krzyczały wtedy przerażone, a ojciec stawiał nam zagadki, grał w zgadywanke lub recytował dowcipne wierszyki... Nie było czasu się bać ani przejmować.

Jako dziecko uznawałem ojca za najmocniejszego, prawie wszechmocnego mężczyznę, dla którego nie ma rzeczy trudnych, bo nic go nie potrafi złamać, ani nikt nie da rady pokonać. Już jako 16-letni chłopiec, gdy zostałem aresztowany przez UB, byłem z początku przekonany, że ojciec zaraz tu po mnie przyjdzie, zrobi UB-ectwu piekielną awanturę, rozwali całą tę paskudną budę, a mnie spokojnie zaprowadzi do domu.

Najcenniejszą jednak rolę w moim życiu odegrał ojciec wtedy, gdy przestawałem już być dzieckiem i próbowałem wkraczać w wiek dojrzały... W tym szczególnym okresie życia, gdy się ma 14-15 lat, bardzo potrzebna jest życzliwa obecność kogoś o silnej osobowości, z autorytetem; kogoś kto umiałby doradzić, zachęcić, ale w razie potrzeby także porządnie skarcić. Ja, na szczęście, miałem przy sobie kogoś takiego. Wiedziałem, że ojciec naprawdę zrozumie moje problemy, te straszne burze w szklance wody, pod wpływem których gwałtownie narasta potrzeba przebudowy dotychczasowego obrazu rzeczywistości. Kończy się między innymi rola "Bozi" lat dziecięcych, a pojawia się konieczność odnalezienia dojrzałego obrazu Boga. Boga, który jest rozumnym stwórcą Nieba i Ziemi, jest Bogiem Miłości i Prawdy! Ojciec sprostał chyba temu swojemu niela-

twemu zadaniu, bo wydaje mi się, że potrafił przybliżyć mi taki właśnie obraz Boga, Boga Prawdziwego, który stanowi najgłębszy fundament i gwarancję sensu ludzkiego życia. Wdzięczny mu za to jestem ogromnie!

Od tamtego trudnego okresu dorastania ojciec stał mi się po prostu przyjacielem, którego się na prawdę potrzebuje, z którym się chętnie przebywa. Nawet, gdy już byłem kapłanem, zawsze z największą radością korzystałem z okazji, aby pojechać do domu i odwiedzić rodziców. Lubiłem pogawędzić sobie z ojcem, pośmiać się z jego dowcipów, posłuchać jego rad. Umacniałem się jego radością i pogodą ducha.

*

W 1980 roku brat Bolesław wyprowadził się z Gdańska do Poznania. Rodzice nie mogli odtąd liczyć na żadną poważniejszą opiekę ze strony najbliższych, gdyby zaszła taka potrzeba. A byli już oboje po 80-tce. W lutym 1983 roku z okazji moich uroczystych ślubów zakonnych przywiozłem ich jeszcze taksówką do Świętej Lipki koło Kętrzyna, gdzie wtedy pracowałem jako duszpasterz. Zabawili u mnie cały tydzień, rozkoszując się spokojem życia klasztornego.

W maju 1983 roku przyszedł od matki telegram z wiadomością, że ojciec ciężko zachorował. Bez zwłoki pojechałem do Gdańska. Ojciec rzeczywiście leżał przez jakiś czas nieprzytomny; nabawił się jakiegoś ciężkiego zatrucia żołądka. Lecz po trzech dniach podniósł się ze swej choroby i znów próbował chodzić. Wówczas jednak zrozumiałem, że nie można pozostawić już rodziców samych, bo oboje są niedołązni.

Ponieważ mieszkające w Skoczowie siostry mojej matki od dawna nalegały, aby rodzice na starość sprowadzili się do nich, więc chyba czas był już najwyższy, aby ulec tym namowom. I tak w sierpniu 1983 roku, dzięki życzliwości Politechniki Gdańskiej, a ściślej - pana inżyniera Markowskiego, który zorganizował samochód przewozowy - rodzice znaleźli się w Skoczowie.

Gdy odwiedziłem ich tam na początku listopada, ojciec był już bardzo niedołązny, choć zachował swój dawny, właściwy sobie dobry humor i życzliwość dla świata. Po całych dniach drzemał lub się modlił. Któregoś popołudnia ciotki poprosiły, bym obudził ojca, bo obiad już gotów. Poszedłem więc i położyłem delikatnie rękę na jego ramieniu. Natychmiast się uśmiechnął, zanim jeszcze zdążył otworzyć oczy. I ten właśnie obraz ojca - już ostatni - zachowałem w pamięci do dziś. W dziesięć dni później już nie żył. Odszedł dnia 17 listopada 1983 r., mając 87 lat. Śmierć miał spokojną; owego jesiennego poranka włożył swoją dłoń w ręce czuwającej przy nim żony - i tak odszedł do Boga.

Ostatnie trzy słowa podkreślam świadomie: - odszedł do Boga! Bo, jak sam często podkreślał, nigdzie indziej się nie wybierał - tylko TAM... I chyba mówił prawdę! Przez całe swoje długie życie służył uczciwie Bogu i ludziom - więc z pewnością nigdzie indziej by się nie nadawał - tylko TAM.

*

Pogrzeb ojca był skromny. Odbył się 23 listopada 1983 roku, na cmentarzu parafialnym w Skoczowie. Była na nim obecna bliższa i dalsza rodzina, a także serdeczni przyjaciele ojca z Politechniki Gdańskiej, którzy - chcąc oddać zmarłemu ostatnią posługę - musieli przejechać dosłownie przez całą Polskę. Obecna więc była zawsze życzliwa naszej rodzinie pani mgr Teresa Kwiatkowska i pan inżynier Markowski, oraz jeszcze parę osób, których nie umiem wymienić po nazwisku.

Ksiądz Bronisław Sroka SJ

SEMINARIUM NAUKOWO-TECHNICZNE

OSIĄGNIĘCIA XXIX MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU ŻEGLUGI - HAGA 1998

Katedra Budownictwa Morskiego Politechniki Gdańskiej we współpracy z Polskim Komitetem Współpracy z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Żeglugi PIANC zorganizowała w dniu 1 grudnia 1998 roku Seminarium Naukowo-Techniczne poświęcone osiągnięciom 29. Międzynarodowego Kongresu Żeglugi, który odbył się w dniach od 7 do 11 września 1998 roku w Hadze w Holandii. Komitetowi Organizacyjnemu Seminarium przewodniczył prof. Bolesław Mazurkiewicz. Podczas Seminarium wygłoszono następujące referaty:

Prof. R. Coufal (*Politechnika Szczecińska*) - *Rola państwowych i prywatnych użytkowników w rozwoju śródlądowych dróg wodnych;*

Dr inż. T. Jarzębińska (*Politechnika Gdańska*) - *Zmniejszenie kosztów portowych w portach śródlądowych;*

Prof. M. Michalski (*Wyższa Szkoła Morska w Szczecinie*) - *Żegluga śródlądowa - bezpieczny system transportowy;*

Prof. W. Majewski (*Instytut Budownictwa Wodnego PAN*) - *Zaopatrzenie w wodę kanałów żeglugowych;*

Prof. K. Wojewódzka-Król (*Uniwersytet Gdańsk*) - *Żegluga śródlądowa a rozwój zrównowazony.;*

Prof. S. Gucma (*Wyższa Szkoła Morska w Szczecinie*) - *Ocena ryzyka w planowaniu i eksploatacji portów z uwzględnieniem wejściowych torów wodnych;*

Dr W. Galor (*Wyższa Szkoła Morska w Szczecinie*) - *Przeciwdziałanie konfliktom pomiędzy żeglugą komercyjną i rekreacyjną na śródlądowych i morskich drogach wodnych;*

Prof. R. Coufal (*Politechnika Szczecińska*) - *Projektowanie i użytkowanie budowli morskich ze szczególnym uwzględnieniem degradacji konstrukcji betonowych;*

Dr T. Szurowski (*Politechnika Gdańska*) - *Nowe tendencje w planowaniu i rozwoju portów;*

Prof. S. Szwankowski (*Instytut Morski*) - *Ekonomiczna ocena zarządzania portami w aspekcie ochrony środowiska.*

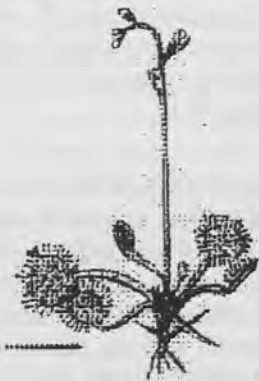
Wszystkie wygłoszone referaty zostaną wydane drukiem i udostępnione zainteresowanym instytucjom, głównie żeglugowym.

Bolesław Mazurkiewicz
Wydział Inżynierii Środowiska

LISTY DO REDAKCJI

Podobno tylko małe dzieci wierzą w krasnoludki. Małe dzieci i ja. Wierzę tak od chwili, gdy podjąłem współpracę z "Pismem PG". Nie są to małe istoty mieszkające pod grzybkami, jak w popularnej piosence, lecz niewielkie istoty z rodzaju "chochlik", nawiedzające drukarnie. Najpierw te sprytnie psotniki zjadały myślniki i litery greckie, ostatnio poprzekręcały wyrazy. Można było przekonać się o tym w trakcie czytania artykułu pt. "Ścieżka przyrodniczo-dydaktyczna we Wdzydzkim Parku Krajobrazowym", zamieszczonego w nr. 9/98. Na str. 40 podpis "Rosiczka okrągłolistna" chochliki zamieniły na "Roślina okrągłolistna". Mało tego, na kolejnym rysunku (str. 41) zamiast "tracza długodziobego" mamy nowy gatunek - "tracza okrągłodziobego". Dostało się też troci wędrownej, której łacińska nazwa brzmi: *Salmo trutta*. Za te psoty przepraszam wszystkich Czytelników PISMA PG.

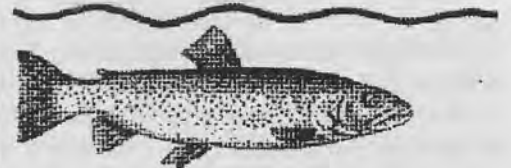
Walczący z chochlikami drukarskimi autor
Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny



Roślina
Rosiczka okrągłolistna -
Drosera rotundifolia



Sylwetka tracza
okrągłodziobego
długodziobego



Troć wędrowna - *Salmo*
trutta
trutta

POLITECHNIKA GDAŃSKA

Plac budowy byłej kotłowni 1997-98



Auditorium Novum 1999



TO MY - ZESPÓŁ REDAKCYJNY
WASZEGO „PISMA PG”

